STRONA CZYTANA

NUMER 9/2022

STRONA CZYTANA

Redakcja:

Piotr Borkowicz,

Kamil Galus,

Patrycja Sikora,

Natalka Suszczyńska

Korekta: zespół redakcyjny

Oprawa graficzna: Krzysztof Schodowski

Logo: Jakub Pszoniak

Spis treści

WSTĘP **3**

POEZJA **4**

Bąk 5

Hornik 9

Kaweński 12

Kusiak 15

Sałdecka 19

DWUPAK 23

I. Filipiak 24

II. Gabryś 25

PROZA **26**

Borkowska 27

Czusz 37

Dalasiński 48

Kuna 52

Sinica 58

Tracz 64

KRYTYKA **69**

Górecka 70

STRONA WOLNA **75**

Adamowicz 76

Górecka 82

Hanuszkiewicz 86

Yusupova/Sajkowski 91

WSTĘP

Слава Україні!

Redakcja Strony Czynnej

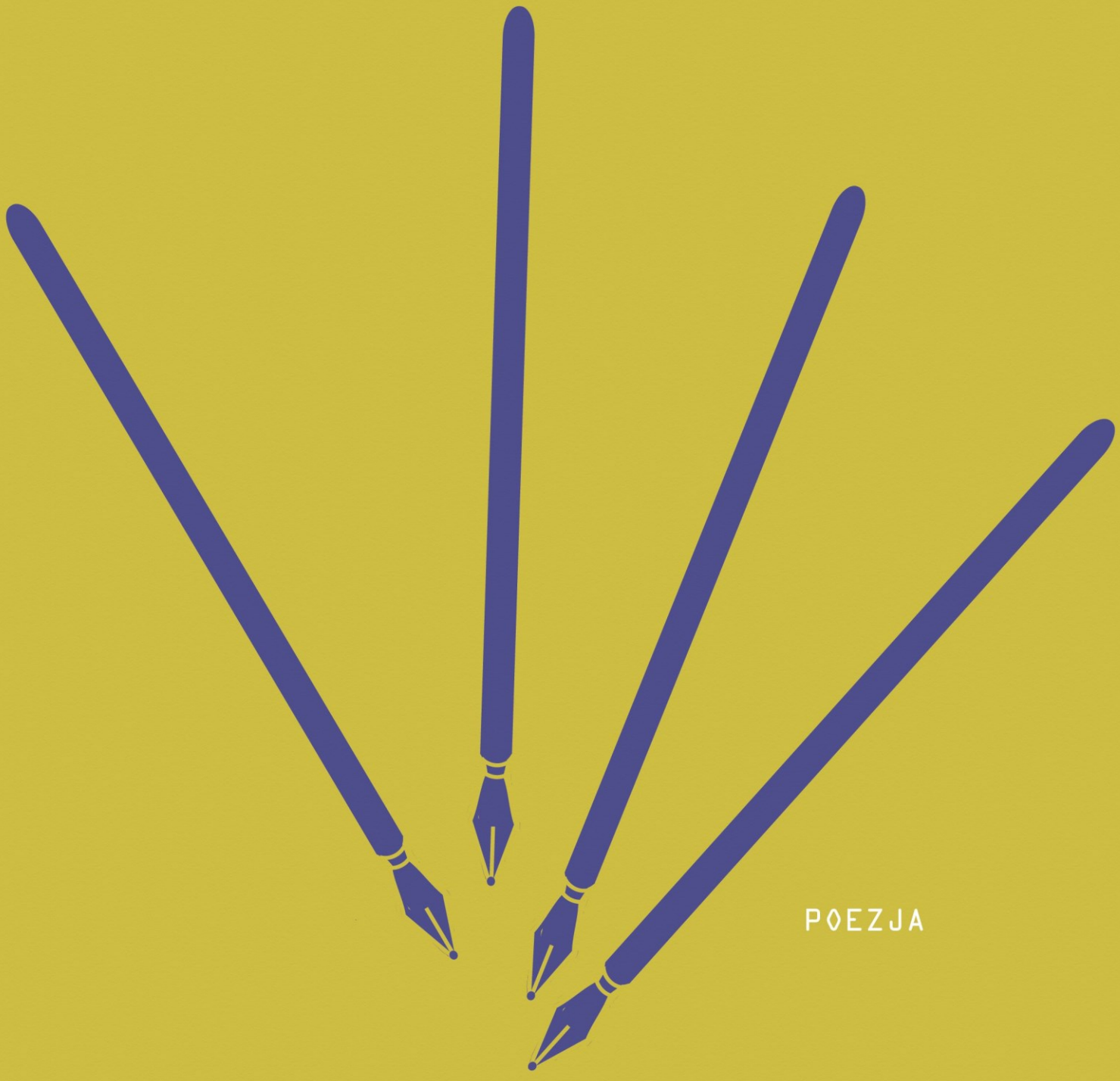

POEZJA

Tomasz Bąk

1991; kolektyw schizofreniczny, autor siedmiu książek z wierszami i jednoaktówki "Katedra" (Wydawnictwo papierwdole, 2019), ostatnio wydał tomy "XXI. Nagi wodnik w śródmieściu" (WBPiCAK, 2021), "Playbook" (Warstwy, 2021) i "O, tu jestem" (WBPiCAK, 2021). Laureat Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w kategorii debiut za tom Kanada (WBPiCAK, 2011), Poznańskiej Nagrody Literackiej – Stypendium im. Stanisława Barańczaka za tom Utylizacja. Pęta miast (WBPiCAK, 2018) i Nagrody Literackiej Gdynia za poemat Bailout (WBPiCAK, 2019). Mieszka w Tomaszowie Mazowieckim.

Oranż

Dźwigasz pomarańczową barwę nieba z powrotem w błękit.

To rzadka umiejętność, i boję się, że podkupi Cię NASA.

Nadeszły dni wiatru, szare niesie kulę do kręgli przez brukową kostkę

niby pożar, z luźnej głowy zrywa czapkę, i ani myśli ją oddać.

Czasem wystarczy to usłyszeć, by wiedzieć już wszystko

- chcę przez to powiedzieć, że drobinka piasku w oku była niepotrzebna.

Innym razem trzeba to zapisać, by na powrót uwierzyć,

bo tak: estetyka oddala nas od piękna, radykalna myśl rezygnuje

z samopotwierdzenia w rzeczywistości, wypatrując rzeczywistości

odmiennej; niepokojąco dowolna liczba światów, w których codziennie

jest dzisiaj, wszyscy wypoczęci, zaskoczeni nagłym blaskiem poranka,

i nikt nie zgłasza sprzeciwu, gdy mówię, że najlepszy w wyjazdach

jest powrót, romb osiedla, mój blok programowy, cztery kondygnacje

opowieści, dzięki której mogę zatrzymać cię w mózgu,

od czasu do czasu. Częściej jednak squatuję metawersum,

ośmiobitowy pączek chrupie w ustach awatara. Tkwią w nas

mechate torowiska, porozkradane na krańcach, ktoś znowu

kręci betoniarką jak butelką, więc odciskamy ślad w świeżym,

będąc w najlepszym miejscu, w najlepszym czasie,

oswojeni z tymczasowością, jakbyśmy wszyscy kiedyś mieli chomiki,

ja śpiewam olanzapinie, że jest lekiem na całe zło, i śmieję się do blistra,

ty dźwigasz pomarańczową barwę nieba z powrotem w błękit.

Abandonware

W jednym z odcinków popularnego serialu paradokumentalnego
poznajemy nastolatkę, która po powrocie z imprezy znajduje
zamordowaną matkę, i od narratorki serialu dowiadujemy się,
że bohaterka nie tak wyobrażała sobie ten dzień

-nie wiedzieć czemu, wszedłem w to akurat, gdy wracałem z pracy,
omijając *mój* zjazd z ekspresówki, i znalazłem się w mieście docelowym,
dalej, w miasta niepokojącej narośli, istnym hemoroidzie na polaroidzie,
i pomyślałem, że przyjdzie dzień, gdy małpa poprosi o większą brzytwę.

Keywords

Tybetańscy mnisi od wieków starali się odgadnąć
wszystkie imiona boże, dziewięć miliardów imion.

Wyposażonym w komputery specjalistom IBM
zadanie to zajęło około miesiąca.

Podług legendy, z chwilą wyrecytowania
ostatniego z imion, świat dobiegnie kresu.

Gdy sceptyczni eksperci IBM schodzili z gór, na firmamencie
dostrzegli z wolna gasnące gwiazdy, ale akurat nie tę jedną.

Sławomir Hornik

1986; wydał dwie książki poetyckie „Szwy” (2018) oraz „Południe pozdrawia północ” (2019). Mieszka we W.

To nawet nie jest wojna

Masz krew na twarzy, na rękach,
brzuchu, spływa ci po nogach.

Brudnobrunatnobrązowy płyn.

Zimny nabieg wanny, blik słońca
w białym oknie na Borowskiej.
Długo patrzysz w odpływ i
piszesz w SMS-ie: *co dalej?*

brewiarz (dla Marcina Zegadły)

Wasz pies umiera w drugim pokoju. Twój syn
boi się wejść. Pamiętasz, o co ją wtedy pytałeś?

brewiarz (instruktaż akceptacji ciasteczek)

Panie, daję ci głos, jak psu, zabieram jak dziecku
cookies-y. Chciałbym ukryć piekło w jednym zdaniu.
Obce opcje języka, dzięki nim jeszcze nie wiem o synu.

Istnieje modlitwa, w której przywracasz światu ustawienia
fabryczne? Chciałbym ukryte piekło, w zdaniu o dzieciach
i psach. Żeby jedne słuchały drugich i wspólnie

nadawały na jednych falach. Wiara wzbiera jak obce morze
ustawień fabrycznych. Z języka zwierząt, synów, modlitw,
powstanie piekło. Wierzę w ustawienia fabryczne,
Panie.

Wierzę w dziecko, które karmi psa wiarą i to ona mu smakuje.
W syna poczętego z ustawień fabrycznych, w ukryte piekło,
w którym wiara jest nasza, język jest twój, nieusuwalne są *cookies*-y.

Marcin Kaweński

Poeta urodzony w 1997 roku w Przemyślu. Publikował w czasopismach internetowych: Stonerze Polskim, Rzyradorze czy Helikopterze. Finalista XV edycji projektu „Połów" Biura Literackiego. Pisał wiersz na ścianie Otwartej Pracowni. Mieszka w Krakowie, kopie piłkę w B klasie. Fan londyńskiej Chelsea.

P.

nie pamiętam od kiedy pierwsza w nocy
stała się pierwszą w nocy, a została wspomnieniem.

pamiętam bar był szeroki_ jak diastema.
tam, piliśmy piwo i oglądaliśmy mecze.

mam nadzieję, że wymyśliłem ten styczeń.
mnie w akme, plus w impulsie,
piękno w samobójstwie,
twarze zapadnięte od szyszynki aż po sznur,

ciebie nie.

odbiór tego wiersza

krewi gałąź, gdzie nie sięga kosa.
kosy niewinnie naiwne sycą słoninę.
tłuszczy się plastik, piękny jak poniedziałek.

owoc spadnie, potem przeturla
się w nic:
odbiór krew, i w szybkę

osa pijana fermentem poezji padnie walcząc
o kolejną kolejkę skisłej cytryny, wtorek.

żeby później

nie jest to nadmiar, że nie jest to na miarę lat,
chociaż wierzyliśmy, że to już wszystko.

niby ciągle jest naście i wiadomości, które chciałbym,
żeby mógł przeczytać każdy, jednak trochę się wstydzę.

skrajam se tę cebulę bez warstw w semantyce,
później skrajam ją na leczo, ręce które karmią.

nie płaczę nad rozlanym kocim, że wolisz koty,
bo sprawiasz, że chyba wolę koty.

dziewczyno, która tworzysz we łbie huk miasta,
dźwięk pilnika, czytasz senniki i złuszczasz pięty!

nie mówisz nigdy wystarczająco, tyle ile wiesz,
w, o, i bez głupocie.

żeby później
wziąć mnie całego na siebie,
wziąć mnie w garść, kochać.

Paweł Kusiak

1998; autor (i współautor) wierszy, redaktor. Publikował w wielu pismach i kilku antologiach (m.in. „Połów. Poetyckie debiuty 2019”). Pracuje nad debiutem pod tytułem „Grypsy proroków” (książka ukaże się wiosną 2022) oraz innymi projektami. Mieszka w Krakowie, pochodzi z Krosna.

Modlitwa za to, co zdechło

patrzę z okna blokowiska
na grupę gówniarzy.
co tracę ojcze?
(droga którą szedłem była pożarowa
na backgroundzie pasy basu.)
patrz czekałem strasznie
zapisałem kalendarz napisałem go.
na czym korzystam ojcze?
(pożarowa była droga którą szedłem
na backgroundzie basy pasów.)
gdy święto umiera zakładam kaptur.
w obrocie rytmu mieszam alko
w rytmie miłości
odrzucam ideę ojca macierz kombinację
szukam ognia.

Że w ziemi?

I pokazał im nóż,
pokazał im gołe ręce.
H. M. Enzensberger, Pieśń piąta

śniły się zręby. pytałem o lśnienie
mówiłem że ozon w tę noc.
co wiemy o psychice zwierząt? więcej
niż o duchach zamarłych systemów.
pytałem o ruję mówiłem
że łowy w tę noc.
dom pana opuścił. ja medium
lecz głos się połknął
śpiew więc do środka. trud darowany
przez niewidzialnego nekromantę.
tu głęboko w noc
tam zapomniane przez zmierzch.
wokoło posiadaliście i byliście
posiadani. wypijam do żalu. powtarzam
ręką koliste ruchy
drugiej pozwalam spać w pięści.

01.11.2021 r.

Zakochaliśmy się podczas gradobicia

nad grobem jeszcze ścieżki dymu
jeszcze morowy beat.
internet spada prosto z nieba:

polityka prywatności gnój piękny
mocny politycznie prywatny.

kto zghostował międzynarodówkę?
chłopaku dziewczyno

opiszcie seksualność cytatem z hioba.
mgławico nieródko kłęb się nad nimi.

w parku księżyca morda obita
jeszcze widne tętna.
moje tkanki garną się

i nikt nie sypnie
a kto nie zaśnie – nie powiem
aż runie świt nam od skrętów do gardeł
i będzie śmiech świateł
w młodym kruszcu w zodiakach tripów.

Karolina Sałdecka

Poetka i prozaiczka. Nagrodzona Bydgoską Literacką Nagrodą Roku „Strzała Łuczniczki" 2020 za tom *Wieżowiec: zero*. Ponadto wydała zbiory wierszy *Na własne oczy* (2011), Psi blues (2016), *Rekuhkara* (2021), powieść *Psycho Killer* (2016) oraz książkę „*Żyjemy wciąż jeszcze na rusztowaniach". Wizerunek kobiety w polskich powieściach doby realizmu socjalistycznego* (2013). Redaguje dział poezji w kwartalniku „Fabularie". Mieszka w Bydgoszczy.

Chérimole

mówią że nie umarła
że w ostatniej chwili pojawiło się coś i z nożem na gardle
mogła wyszeptać zaklęcie
zmieniające ją w skolopendrę albo w noworodka
z główką jak owoc czerymoi
mówią że nie chciała przeżywać tej męki
jeszcze raz
jęczała tylko łykowatym głosem
wiedźmy

Baba Chu

nie zdejmuje kurtki nawet kiedy jest za gorąco
kisi się i gnije i trwa
językiem bada żuchwę
jakby chciała prześwietlić żołądek i jelita
bo tam jest coś
czego każą jej się pozbyć
najlepiej pójść za stodołę i zakopać

ale póki co to przelewa się we mnie
mówi Baba Chu i znowu ma trzynaście lat na gwiazdkę
chciałaby dostać rower

Cletius Ohamara woła

mnie do kuchni
pod podłogą mamy szczury trochę ziemniaków
plus pokój *hoo doo*

(na wypadek gdyby komuś przydarzyło się coś złego)
bo tutaj

odróżniamy przyjaciół od nieprzyjaciół
lepiej przyjdź do kuchni
na zewnątrz pada deszcz więc lepiej przyjdź
do kuchni
na zewnątrz wszyscy myślą

że nad *bayou* są tylko aligatory i starzy faceci
bez zębów
ceglany pył ochroni cię przed klątwą po wszystkim
zjemy gumbo
Skeet Edna mama Lou i ja

więc lepiej przyjdź do kuchni

Sherman Fields

czy widzieliście tego mężczyznę
w długim żółtym płaszczu?

wystaje przy osiedlowych bramach a jego głowa
z otworu pralki ekranu komputera
kiedy przymykasz oczy albo zasypiasz przed telewizorem
w kieszeniach ma cukierki

a jego pofałdowana twarz staje się całkiem czarna
kiedy się zdenerwuje

w metrze wkłada żyletki do kolorowych papierków
w jego schodzącym paznokciu wisi zło

Cletius Ohamara zagląda

w moim żołądku mieszka ktoś lub coś
kładzie dłonie
płasko na ściankach od środka
i to boli najbardziej
kładzie odrywa kładzie i odrywa
chyba też łysieje brakuje mu witamin
za chwilę złapie go niedowład albo rwa kulszowa (wybrać to gorsze)
to żyje i umiera we mnie
otwiera i uśmierca
golem albo słodkie dziecko

Wujaszek Blue

nawet się nie domyślał jak bardzo jest źle
dopóki ktoś w końcu zabrał się za jego pogrzeb
w brodzie zalęgły się już rudziki i skolopendry

a pod paznokciami resztki pizzy
pod oknami wystaje jeszcze mała dziewczynka
ktoś jej powiedział że jesteś baronem narkotykowym

i chciałaby jakieś drobne
wujaszku
chociaż lekarz mówił żeby nic nie ruszać

DWUPAK

I. Konrad Filipiak

Poeta. Publikował w Stonerze Polskim i Tlenie Literackim.

II. Mirosław Gabryś

Gitarzysta, baglamista, poeta. Opublikował 4 tomiki poetyckie i 3 książki prozą, m.in. „Zwłoki monterów idą w miasto” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011).

w miłości trwogę odwagą zwyciężaj

powietrze jebało ulewą
i wtedy

to tu na asfalcie
na ziemi
na śniegu
leżała

bezczelne

chce piec z tobą ciasta
karmić okoliczne wrony

Ogłoszenie z olx.pl

Tomaszowi Dalasińskiemu

Tomik wierszy Zeitmusik

autorstwa Tomasza Dalasińskiego

zamienię za jogurt naturalny Zott

2 szt. bez laktozy duży.

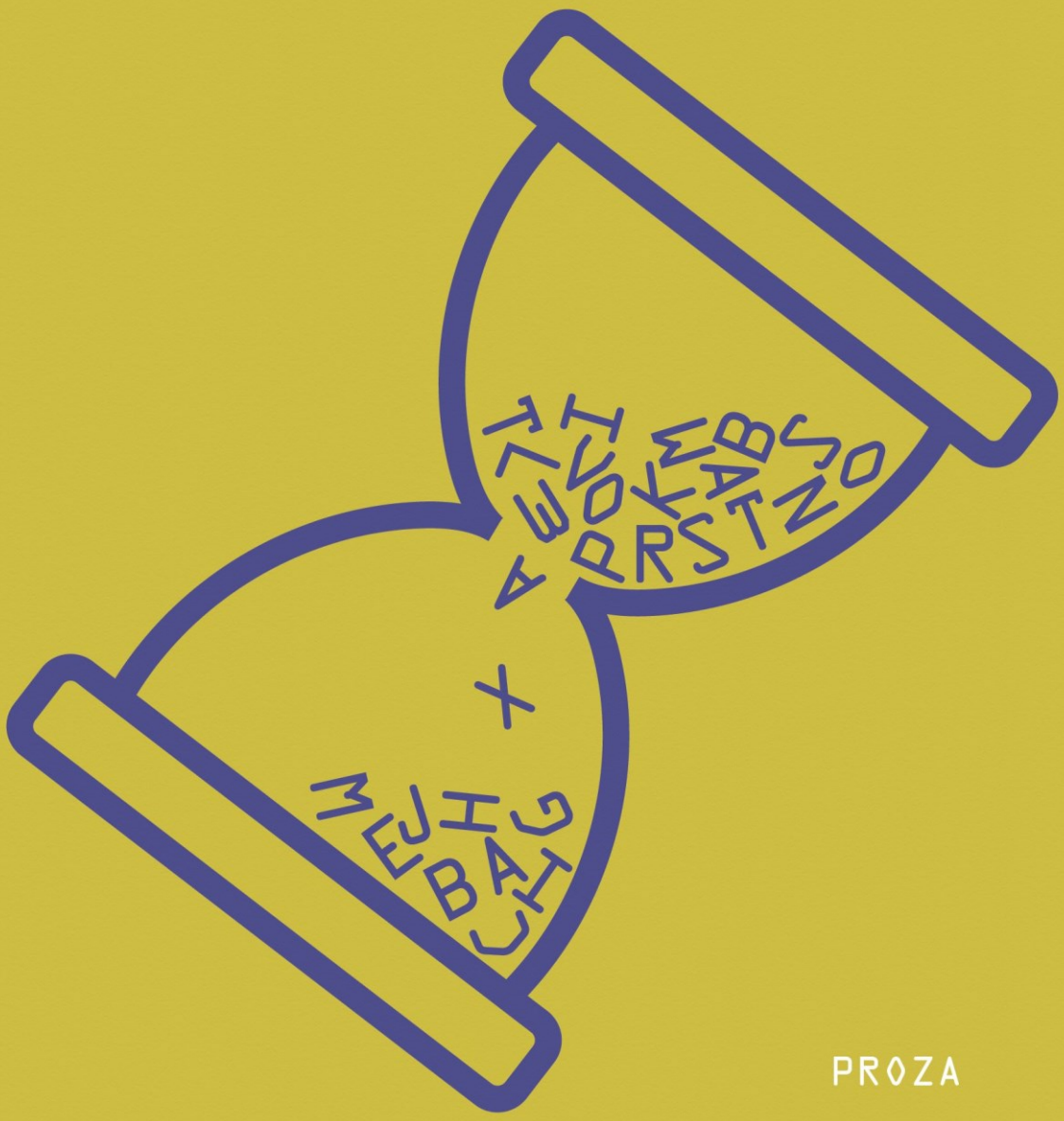

PROZA

Dagmara Borkowska

Homo poeticus, pożeraczka reportaży, szmat lumpeksowych i miłości. Kolekcjonerka emocji i dyskusji z ludźmi. Studiuje kulturoznawstwo w Gdańsku, na chleb i fińskie masło zarabia słuchaniem ludzi („wszyscy byliśmy kiedyś zawieszeni na infolinii”- tak, to mój cytat) a także sprzedażą ubrań vintage. Publikowała w „Tlenie literackim”, „Girls to the front”, „G’rls ROOM”, „Helikopterze” oraz „Stronie Czynnej” (pod pseudonimem – Mania Liegman). Cierpi na zbyt wiele pomysłów, pisze co zdoła.

Zacierowscy

W skwarze lipcowego popołudnia Zacier zmywał krew z twarzy. Chowanie matki na własnej miedzy uważał za chlubę. Sołectwo prychało, klęło pod nosem, uważając, że: „Młodego Zacierowskiego zupełnie pojebało."

Mężczyzna dalej rytmicznie siekał ziemię, popijał kompot z rabarbaru i wiedział, że jeszcze dziś zasiądzie do pisania. Czuł jak mu spod koszuli wylewa się litera, rym, a kto wie, może i cały splot wydarzeń? Powstał dylemat: skończyć chowanie matuli czy iść zapisać myśl? A jak ucieknie? Matka i tak już się nie obrazi. Cisnął łopatą o ziemię, po drodze zauważył Borga, szczeniaka, którego ojciec podrzucił tydzień temu, bóg jeden wie skąd go przytachał. Nalał wody do michy, postawił w cieniu.

- Witaj w zacierowskich progach. Nie będzie łatwo - powiedział mężczyzna, uświadamiając sobie, że ma kolejną gębę do wykarmienia. I odpowiedzialność pod strzechą. Na starego nie ma co liczyć w tej kwestii. Schylił się, żeby rzucić szczeniakowi patyk.

- Marek, Marek, Marek. Moja krew z krwi. Wielkie serce, wybawca ludzi i zwierząt.

W milczeniu znosił codzienny wylew ojca, wiedział, że bezpieczniej będzie to zdusić, samo przejdzie.

Ale dzisiaj był upał, taki, który skutecznie rozpuszczał asfalt i cierpliwość. Ojciec położył się na trawie, w samym centrum słońca, jak król chełpiący się blaskiem.

- Na chuj ty matkę tutaj grzebiesz? Mówiłem po bożemu, daj proboszczowi ile trzeba i będzie po cichu, nocą.

- Matka, by chciała tutaj, wiem, co mówię. Czy możesz chociaż raz się zamknąć i pozwolić jej zrobić po swojemu? Ojciec, do cholery, ona nie żyje. Daj spokój, proszę.

- Całe życie cię kurwa nie znosiłem, Marek. Wiecznie wstyd, w kościele, sklepie, urzędzie, przed sąsiadami. Wiecznie ryja nadstawiać za ciebie i matkę. Zachciało mi się samobójczych artystek z miasta, z pasożytem u boku. A mogłem sobie żyć, siedzieć w tej wsi, gdzie diabeł mówi dobranoc. Teraz to diabeł siedzi nam na dachu, pali wątrobę, żołądek i odbyt. A piecze to życie człowieka, piecze, że chuj. Podaj tatusiowi, niech zwilżę.

Marek poszedł posłusznie po butelkę. Niech zaśnie. Niech się zamknie. Wtedy, z zachodzącym słońcem zakopię matkę. Zabiorę ją za rękę, jak wtedy ona mnie - pomyślał sobie. Płuca zachłysnę chłodnym powietrzem, niech tylko zaśnie, przestanie wreszcie pluć na matkę.

We śnie człowiek jest bezbronny, ciało projektuje co tylko zechce. Koszmary, idylle i wstydliwe pragnienia jawią się jako żywe. Czasami tak silne, że potrząsną, zbudzą i zostawią duszę rozgorzałą.

Muchy brzęczały mu na spoconym ojcowskim czole, wyjadały resztki słodkiego bimbru z kącików ust, nie bojąc się wielkiego cielska. Spał.

Jan Zacierowski, lokalny bimbrownik, który nigdy nie chciał być rolnikiem, za młodu sprzedał ziemię po rodzicach, wkrótce potem poznał przyszłą żonę, studentkę Akademii Sztuk Pięknych. Zofię Pękałę, z miasta Łodzi.

Akurat odbierał akt notarialny po sprzedaży ziemi. Został z niczym, choć jakby ze wszystkim. Zgłodniał, udał się do „Żeglarskiej" na gulasz i wódeczkę. Już był gotowy przywołać kelnera, ale obok, przy stoliku, płakała dziewczyna. Siedziała zgarbiona, jadła zupę i właściwie swoje łzy. Miała krótkie rude włosy, prostą grzywkę, bladą skórę i długi, krzywy nos. Ubrana była w zieloną sukienkę w romby i pomarańczowe rajstopy. Na jej kolanach leżał jakiś rysunek. Janek zerwał się raptownie.

- Dobra ta zupa?

- Jaka zupa?

- No ta, co ją panienka je. Skoro płaczesz, to chyba średnio smakuje.

- Zupa jest dobra, pożywna. Ale ja egzamin oblałam. Ojciec mnie zabije, matka spali ze wstydu przed sąsiadami.

- Janek na mnie wołają. Mogę?

Usiadł naprzeciw, dał znak kelnerowi, żeby podszedł.

- To samo poproszę i deser dla…

- Zofii – powiedziała niepewnie.

- Zechcesz mi pokazać ten szkic?

Zosia nieśmiało podała pracę Janowi.

- To miała być moja najlepsza praca – powiedziała cicho i zawiesiła wzrok w oknie.

Na wymiętej kartce był talent – skonstatował w duchu Jan. Szkic przedstawiał kobietę w ciąży, była naga. Jej ciało było młode, ale jakby zmęczone, zroszone potem, leżała na drewnianej podłodze, jedną dłoń trzymając na wielkim brzuchu, druga swobodnie odpoczywała. Postać była piękna i jednocześnie cierpiąca, nigdy nie widział czegoś tak naturalistycznego, ale też poetycko pięknego. Wyglądała jak opasła, dumna, ciężarna syrena.

Oniemiał, bał się, że nie będzie w stanie jakoś mądrze tego skomentować. Nie był głupcem, ale we własnym mniemaniu jego mądrość była raczej praktyczna, wiejska i zanikająca, kiedy tylko przekroczył granicę miasta.

Odłożył szkic, wziął łyżkę z zupą do ust, przegryzł zdenerwowanie i zdecydował się otworzyć paszczę, widząc, że Zofia zaczęła nakładać na siebie płaszcz.

- Pokażesz mi więcej swoich prac?

Zofia była w amoku, co właściwie mogło jeszcze pogorszyć ten dzień? Obcy mężczyzna chce zobaczyć jej prace, w domu przecież jeszcze nikogo nie ma, a zapach farb na strychu zawsze ją uspokajał.

- Chodź.

Jan zostawił pieniądze na stoliku, porwał płaszcz i ruszył za Zofią.

Okazało się, że mieszka w pobliskiej kamienicy. Zosia przekręciła klucz w drzwiach.

- Jestem.

Odpowiedziała jej cisza, skinęła głową w stronę mężczyzny. Dom był niezwykle czysty, meble starannie dobrane, jego buty zostawiły kałużę wody na drewnianej podłodze.

- Nie przejmuj się.

Zofia wzięła do rąk drewniany hak i z sufitu potoczyły się schody. Zaczęła szybko pokonywać stopnie, a potem wystawiła rękę do Jana.

- Zmieniłeś zdanie?

Postawił stopę i trochę zakręciło mu się w głowie, od zawsze zmagał się z lękiem wysokości. Zresztą nie tylko z tym.

Szybko pokonał kolejne stopnie, żeby uniknąć kompromitacji przez Zofią.

Na strychu pachniało wilgocią, farbami i czymś, czego nie potrafił rozpoznać.

- Co tak pachnie?

- Olejek herbaciany, smaruję nim blizny.

Jan nie wiedział, czy powinien dalej drążyć temat, czy może lepiej powiedzieć, że owszem ładnie tu ma, ale bardzo spieszy się na autobus. Zofia naprędce wyczuła jego zakłopotanie, złapała go za rękę i zabrała w kierunku przepierzenia w indyjskie wzory.

Na sztalugach, krzesłach, w tekach leżało mnóstwo szkiców, gotowych prac, jakichś tekstów, rękopisów. Ten świat wydał mu się tak samo nęcący, jak i obcy, przerażający. Nikt go bowiem nie uczył jak obcować z sztuką. Zacierowski został zobowiązany do zdania matury (dla świętego spokoju), a potem bimbrzenia z ojcem - Karellem. Samogon ma się kręcić, a pieniądz lśnić w świetle księżyca.

Na większości były powykręcane, jakby reumatyczne ciała. Monstrualne, naturalistyczne, z włosami, pęcherzami, widocznymi wydzielinami fizjologicznymi. Były tak odrażające, ohydne, że aż fascynujące. Oglądanie ich sprawiało dyskomfort i podziw jednocześnie. Po kilku minutach wgapiania się w prace Zosi, spojrzał na autorkę.

Ten swoisty, niezapowiedziany wernisaż okazał się kluczowy w historii jego życia.

28-letni Jan wbrew własnym oczekiwaniom zakochiwał się we wrażliwej, dziwnej dziewczynie. Zrobiło mu się niedobrze, bo był po słowie z inną.

- Ja będę uciekał.

- Chciałam ci coś tylko dać.

Zofia podeszła do biurka, wysunęła szufladę i wyciągnęła szkic, niezbyt duży, jak sklepowy zeszyt.

Zapakowała go szybko w kopertę.

- Weź i obejrzyj jak wrócisz do siebie. Skądkolwiek jesteś.

- Z Jabłonnej jestem.

Na jej twarzy nie było już smutku. Z nieśmiałością w oku zaczęła układać pędzle na biurku. Jan chwycił płaszcz i zmierzał w kierunku wyjścia.

- Nie odprowadzaj mnie, poradzę sobie. Mam nadzieję, że się nie poddasz.

- Nie poddam?

- Rodzicom, wykładowcom. Maluj. Cześć.

Zosia poczuła jak zalewa ją rumień i okrasza jej klatkę piersiową niczym buraczki z niedzielnego obiadu.

Poczuła silne podniecenie, za które skarciła się natychmiast. Udała się do łazienki, odkręciła kurek z letnią wodą, zaczęła zdejmować rajstopy, mokrą od łez sukienkę, na której zostały ślady węgla. Przekręciła zasuwkę w drzwiach, zaczęła nucić i delikatnie zanurzyła czubek stopy w wodzie. Zdatna. Weszła, bezlitośnie zalewając włoskie kafle.

Doskonale wiedziała, że została jej około godzina. Zanim rozpęta się piekło, pretensje, które niczym nieskończone liny oplotą całą rodzinę. Matka skończy z migreną, ojciec wyjdzie, siostra zacznie grać Strawińskiego, a Zosia będzie szastać pędzlem strukturę płótna.

A gdyby to wszystko miało się nie wydarzyć? Gdyby nie dać rodzinie okazji, satysfakcji. Dziewczyna gwałtownie wstała, rozlewając wodę na tych samych czarnych kaflach z Włoch. Otuliła się liliowym ręcznikiem, wytarła szybko blade ciało, dotknęła twarzy i zza zaparowanej szyby dostrzegła swój długi, krzywy nos, który czerwienił się razem z nią na myśl o psocie.

Wybiegła z łazienki, zostawiając za sobą trop. Mokre stopy znaczyły drewnianą podłogę, dywan, a teraz schody na strych.

Jej ciało ruszyło w kierunku dziadkowego plecaka, zwykły szmaciak, w plamach, odbarwieniach od wystawiania na słońce. Zasłużony towarzysz dumań.

Z szalejącym sercem i wodą ściekająca z włosów wrzucała sukienki, spodnie, szkicownik, farby, pędzle, bieliznę i pamiętnik, w który prowadziła od zawsze.

Ubrała tweedowe spodnie, wciągnęła golf na nagie piersi, które zaznaczyły swoją obecność, powodując zmarszczenie brwi na twarzy Zofii.

Złapała za telefon. Przecież jest jeszcze on.

- Pękała, odebrał ktoś Marka?

- Dzień dobry, panience Zofii. Mareczek kończy ogórkową. No kochany, teraz za babcię, otwieramy buzię, aaammmm.

- Ja go dziś odbiorę.

Trzasnęła słuchawką, zostawiając rozmówczynię w lekkim osłupieniu.

Nie zamknęła do końca plecaka, miała już dawno naprawić sprzączkę. Chwyciła chleb, kawałek pomidora. Zżarła. Uczuła gulę w gardle i z trudem przełknęła, suchą kromkę z wielkim kawałem kiełbasy, którą ktoś zostawił na blacie.

Założyła trapery, przewiesiła płaszcz przez ramię i była gotowa do wyjścia. Otworzyła drzwi i z pozycji korytarza spojrzała na długi, pociągowy hol. Na wieszaku wisiało palto ojca, jedwabna apaszka matki, parasolki, a na szafce liście i kamyki, które Marek zbierał ochoczo.

Poczuła, że zbiera jej się na ryk, zamknęła naprędce drzwi, przekręciła klucz. Zaczęła schodzić, szybko, ale jednak ostrożnie. Postanowiła wyjść tyłem, podwórkiem kamienicy. Była tam furtka, który prowadziła na przystanek autobusowy.

Akurat podjechał 112, zaczęła biec, by złapać, co właściwie chciała złapać?

Cały ten dzień wydawał się jej jakby filmem, czymś, co jest odrealnione. A może od roku żyła w czymś, czego nie poznawała? Dom wciąż pachniał tak samo, ale inaczej brzmiał. Od kiedy pojawił się Marek zrobiło się ciszej, jakby rodzice chcieli za wszelką cenę, żeby nikt nie dowiedział się o chłopcu.

W autobusie śmierdziało deszczem, wzrokiem szukała miejsca, plecak był dosyć ciężki, trzeba było przecież zabrać wszystko, wszystko w pigułce. O, jest! Usiadła obok starszej kobiety, która sapała i jęczała pod nosem.

- Mam marchew, seler, nać. Rosół zrobię, tak sobie zrobię. Kiedy Muniek żył to robiłam domowy makaron, a jak on lubił go jeść. Jajka mieliśmy ze wsi, od siostry mojej. Ona wdową została dosyć szybko. Ale miała kotki, śliczne kotki. Mam marchew, seler, nać.

Zofia właściwie lubiła przyglądać i przysłuchiwać się ulicy, wierzyła, że to wszystko jej się układa w głowie, ciele i wypuści korzenie, kiedy będzie malować.

- Lubczyk pani doda, będzie pyszny.

Kobieta nie spodziewała się chyba, że ktokolwiek odezwie się do niej w autobusie. Milczała, obserwowała Zofię, złapała ją za rękę, pogłaskała i powiedziała:

- Marchew, seler, nać.

Miało się wrażenie, że nie bardzo odbiera sygnały dochodzące spoza jej bańki. Rozkochana we włoszczyźnie znowu odpłynęła w siebie. Może to jakiś sposób, by przetrwać? - pomyślała Zosia.

- Benedyktyńska!

Wyskoczyła naprędce jak oparzona. Znowu biegnie, tym razem w kierunku klasztoru. Nie znosiła tego miejsca, na myśl o zapachu zupy mlecznej, surowych opiekunek i nieszczęśliwych miłości robiło jej się niedobrze. Zazwyczaj gosposia odbierała Marka.

Na dziedzińcu dzieci bawiły się z siostrami zakonnymi, wesoło pokrzykując grały w klasy.

- Mareeeek!

- Mamo, ja jeszcze nie chcę, jeszcze chwilkę.

- Mareczku, musimy iść, mam dla Ciebie niespodziankę.

- Niespodziankę? Jaką?

- Jak powiem, to przecież nie będzie niespodzianki.

- No, mamo, no. Jak powiesz, to będę jadł brukselkę bez krzywienia się.

- Maruś, idziemy po kurtkę i opowiem ci w drodze.

Zofia złapała chłopca za spoconą od emocji dłoń i przebiegli razem przez dzieciniec.

- Mamo, czemu tak ciągniesz? Bolą mnie nogi.

Kobieta schyliła się, by spojrzeć w markowe oczy, uśmiechnęła się do niego łagodnie, ucałowała w czoło, przytuliła do siebie tę ciepłą główkę, która wciąż potrafiła ją uspokoić w momencie zwątpienia.

- Pamiętasz jak chciałeś zobaczyć krowy, świnki i króliki, ale tak na żywo?

- Taaak!

- To może dzisiaj?

- A będę mógł im zrobić zdjęcia?

- Będziesz mógł je obserwować, ile tylko zechcesz, Maruś. Chodź, sprawdzimy, o której mamy autobus.

Miała wrażenie, że w żyłach oprócz krwi tkwią igiełki, które utrudniają jej funkcjonowanie. Zebrał się chłodny wiatr, zapięła guziki płaszcza, najpierw sobie, potem chłopcu. Nie wiedziała już, czy postępuje dobrze, czy w ogóle go tam zastanie, ale wrócić do domu już nie mogła, nie teraz. Woda pewnie wciąż zalewa włoskie kafle, bezlitośnie niszcząc ład.

Zakręciło jej się w głowie, to leki na nerwy, zapomniała ich zabrać, czy świadomie?

- Mamo, kiedy nasz przyjedzie?

Najlepiej będzie po prostu spojrzeć na rozkład. Warkot Ikarusa zagłuszył jej spięte myśli. Los dawał jej właśnie rozwiązanie na tacy, trzeba było tylko się odwrócić od rozpiski, złapać dłoń Mareczka. I już, byłoby inaczej, ot tak. Mknęłaby do Jabłonnej, pokazać Marusiowi krowy, zapachy polskiej wsi, a sobie? Co sobie mogłaby pokazać?

Chciała już nie być w Łodzi, pod obstrzałem czujnych oczu matki, siostry, pod płaszczem obojętności ojca. Nie chciała być tą, tamtą, z bękarcim swądem na plecach.

Chciała jechać, za czymkolwiek, za kimkolwiek. A on wydał jej się odpowiednio obcy, odpowiednio miły. Zauważył ją przecież, dostrzegł.

- Ej, panienko, wsiadamy? Bo żona z obiadem czeka. Haloo! To jak będzie?

Odwróciła się, żeby zobaczyć, kto pozwolił sobie przybliżać ją do ucieczki. Zwykły kierowca Ikarusa, uśmiechał się z niesamowitą szelmą, radością, jakby na końcu trasy czekał na niego raj, jakby miał zabrać pasażerów w najpiękniejszą podróż ich życia.

Zofia zaciągnęła się coraz chłodniejszym powietrzem, zwilżyła płuca, spojrzała chłopcu w oczy, uśmiechnęła do kierowcy i ruszyła.

Łódź pachniała papierosami, potem, słodką wonią zwietrzałych perfum pań z biura, żytnią pitą na parapetach sklepów. Miasto zachodziło, neony zaczynały trzeszczeć i posłusznie puszczać oczko do przechodniów, zapraszając ich do tanga.

Ruszyła.

Wojciech Czusz

Prozaik.

Wypierzanie łabędzia

Tak podekscytowany nie był od dawna, choć sam już nie wiedział, czy bardziej ekscytuje go dom, czy właścicielka.

– Piękny! – zapewnił, gdy wyszli na taras, prosto w niebieski zmierzch.

– Siadaj, Andrzejku. – Wskazała mu miejsce. – No już, już – popędziła go, bo stanął grzecznie koło fotela i czekał, aż ona usiądzie pierwsza. – Ja nam przyniosę, wiesz, rozrywkę.

– Może pomóc?

Machnęła nań ręką i wróciła do środka. Obserwował ją chwilę przez okno, które rzucało na posadzkę tarasu plamę ciepłego światła, patrzył jak grzebie za czymś w lodówce, pokręcił głową i westchnął. Umościł się wreszcie w wiklinowym fotelu, na miękkiej poduszce, w załomie muru, pod potężnym, zmurszałym gzymsem.

– Piękny dom – pochwalił raz jeszcze, gdy Olga przyniosła butelkę i kieliszki. – Wielkie nieba, wódka?

– Wiedziałam, że ci się spodoba, ty mój koneserze. – Postawiła szkło na stoliku przykrytym białym, lnianym obrusem. – Proszę bardzo.

– Pomyślałby kto, że dalej jesteśmy na studiach. Nie wiem, czy podołam.

– Podołamy. – Uśmiechnęła się na sposób, który tak wrył mu się w pamięć: jakby była czymś rozbawiona i zniesmaczona zarazem. – Czyń honory. Ja jeszcze coś... – Znowu odeszła.

Andrzej żwawo wziął się do oglądania zawartości, odkręcania nakrętki i napełniania kieliszków. Z radości mało nie porozlewał, pod nosem nucił „Z dawna Polski tyś królową" i w ogólnym rozrachunku zaczął obiecywać sobie po tym wieczorze znacznie więcej niż dotychczas.

– Piękny, ale zapuszczony – powróciła do tematu Olga, niosąc tym razem dwa talerze z zakąskami. – Długo stał pusty.

Jej gość wziął faszerowaną połówkę jajka.

– Pyszne – wymamrotał z pełnymi ustami. – Dawno się wprowadziłaś?

– Miesiąc temu, niecały.

– Taki historyzujący modernizm albo modernizujący historyzm. Popraw mnie, jeżeli się mylę, ale mam wrażenie, że część mebli przetrwała jeszcze z międzywojnia. Zabytek?

– W ewidencji.

– To wzięłaś na siebie sporą odpowiedzialność.

– Tak. – Podniosła pełen kieliszek. – Moje brzemię. Zdrowie!

Brzęknęło szkło. Wypili i zagryźli.

– Chcesz, Andrzejku? – Wyjęła paczkę papierosów.

– Nie, dziękuję. Rzuciłem, będzie z dziesięć lat temu.

– Jak sobie życzysz.

– To w ogóle jest jak wielki powrót do przeszłości. Znowu my, znowu razem, we dwoje, i znowu wódka w tym mieście.

Olga tymczasem, z papierosem w ustach, nalała następną kolejkę.

– Na drugą?

– Tak jest.

Stuknęli się, wypili. Andrzej dobrał się do ćwiartki kiszonego ogórka.

– A ta okolica… Widzisz, ja nawet nie wiedziałem, że jest takie miejsce, i to tak blisko śródmieścia.

– Trzeba trochę zboczyć.

– Tam wszędzie bloki, a tu, pośrodku, uchowała się inna epoka.

– Tak. – Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej zniesmaczony niż zazwyczaj.

Dom Olgi znajdował się na skrzyżowaniu dróg. Z ich miejsca, z ciemnego kąta w załomie muru, tuż obok światła padającego z okna, za kamienną balustradą i niskim żywopłotem, widzieli całą okolicę zatopioną w niebieskim, pochmurnym zmroku. Okna sąsiednich domów zapalały się stopniowo, rozbłyskiwały żółte i pomarańczowe prostokąty. Wiatr

gnał ulicą, drzewa szeleściły to dalej, to bliżej nich, ludzie rozmawiali w ogródkach, z rzadka przejeżdżał samochód i tylko w tle, gdzieś dalej, za nimi, miasto szumiało wciąż i szumiało.

Andrzej wciągnął powietrze, głęboko, głęboko, aż brakło miejsca w płucach, a wraz z powietrzem przyszły zapachy – te odległe, nieokreślone, zapowiadające coś niezwykłego, i te bliskie, jasne, jak ogórek, śledź, jajko, dym papierosowy i jej perfumy.

Olga odpalała właśnie papierosa od papierosa i zezując ku stolikowi, zaproponowała:

– Nalej nam jeszcze.

Zaczął zatem nalewać, nader ostrożnie i sumiennie, bo dwie pięćdziesiątki wypite z rzędu wystarczyły, żeby lekko zamieszać mu w głowie, choć sam czuł, że to nie zasługa wódki, ale świeżego powietrza i Olgi. Siedziała tam, tuż obok, spowita dymem, oczy kierując w jakiś punkt zgoła nieciekawy, w miejsce złączenia posadzki i balustrady, jakby zupełnie co innego widziała. Dopiero jego zachęcające chrząknięcie skłoniło ją, by na wpół obrócić się ku niemu.

Postarzała się, a może i nie postarzała – zmarszczki w kącikach oczu i ust, skóra jakby mniej ściśle przylegająca do policzków, ale włosy wciąż bujne, szalone i równie szalony błysk w oku. Powiedziała:

– Pozwól, że coś ci opowiem.

Skinął zachęcająco w stronę kieliszka. Podniosła, więc patrzył jak pije, jak marszczy twarz, potrząsa głową i znowu odwraca się bokiem.

– Widzisz, ja jako dziecko mieszkałam w pokoju na poddaszu. Wielkie wrażenie na mnie to poddasze wywierało. Jedno pomieszczenie, zamiast ścian – dwie drewniane płaszczyzny zamykające się nade mną, słupy i krokwie, i ja, sama, w kącie, na łóżku. Później rodzice dokwaterowali mi tam brata, kiedy miał już, nie jestem pewna, trzy lub cztery lata. Cieszyło mnie to, bo był, bestia, bystry, zaraz nauczyłam go grać w domino.

– To zrozumiałe.

– Rzecz w tym, że wkrótce zaczęłam wchodzić w wiek dojrzewania, czym rodzice przejmowali się bardziej ode mnie. Mówili, że się będę wstydzić, że potrzebuję prywatności, by przyjmować kawalerów. Ojciec postanowił wydzielić część poddasza i zrobił coś na

kształt przepierzenia, nie wiem, parawanu, znaczy się – postawił w poprzek meblościankę, a matka przerobiła stare zasłony tak, by zakryć luki. Ja wtedy miałam dwanaście lat, brat sześć. Na kawalerów było wprawdzie za wcześnie, ale i tak wyświadczono mi przysługę, bo w tym przytulnym kącie, za przepierzeniem i pod grubą kołdrą, ukryta przed światem, zaczęłam odkrywać pewne wczesne uroki, rozumiesz, bycia kobietą.

Andrzej słuchał z natężoną uwagą.

– Potem, oczywiście, do brata zaczął przychodzić ojciec. Brat chyba nie skończył jeszcze siódmego roku. Nie wiem, dlaczego właśnie wtedy, czy wcześniej się nie odważył, czy dopiero teraz zaczął go pociągać. Już nie jako dziecko, tylko, wiesz, chłopiec.

Olga podsunęła w jego stronę talerzyki, jakby chciała, żeby sobie umilił czas. Minę miała nieprzeniknioną.

– To było tak, że pewnej nocy się obudziłam i usłyszałam. Na początku ojciec coś do niego mówił. Ucieszyłam się nawet, bo myślałam, że do mnie też przyjdzie. A potem zaczęły się odgłosy. Słuchałam, proszę ciebie, słuchałam jak zaklęta. Nawet nie pamiętam, czy od razu wiedziałam, co się dzieje, czy tylko się domyślałam, że to coś, w czym nie należy przeszkadzać. – Bawiła się paczką papierosów, mnąc na niej folię. – Ale później powtórzyło się, powtarzało się wiele razy, czasami częściej, czasami rzadziej, powtarzało przez lata. Budziłam się albo wcale nie mogłam zasnąć, dopóki ojciec nie przyszedł i nie zrobił swojego, ale już nie słuchałam. Zaciskałam ręce lub poduszkę na uszach, wchodziłam pod kołdrę i czekałam. W pierwszych miesiącach przerażona, potem zezłoszczona, wściekła. Kibicowałam mu, żeby szybciej skończył.

Zamilkła.

– Ja byłam wtedy nastolatką, tak? Miałam dwanaście, trzynaście lat, a przy młodszym bracie czułam się jak dorosła. Ale nie wobec ojca. I wiesz, ja się bałam, ale nawet nie tego, że on, że ojciec coś mi zrobi. Mnie było najzwyczajniej wstyd. Było mi śmiertelnie głupio. I nie chciałam, żeby mu, żeby im przeze mnie zrobiło się głupio.

Rzuciła zmiętą folię przed siebie.

– Był taki czas, że próbowałam coś zrobić, że wierciłam się głośno na łóżku albo kaszlałam, ale nie zwracał uwagi. Nie wiedziałam, czy on naprawdę sądzi, że ja śpię, czy wie, ile razy go słyszałam. I tym bardziej się wstydziłam. Zdarzyło mi się kiedyś, to prawda, w

akcie najwyższej odwagi wstać z łóżka tuż po tym, jak on wyszedł i zejść za nim na dół, niby do łazienki, ale nic to nie zmieniło. Spróbowałam kolejny raz, krzyczałam do siebie w głowie – wstań, wstań, wstań! – i wstałam, już po wszystkim, ale jeszcze zanim wyszedł. Nie widziałam ich w ciemności, ale leżeli tam obaj, cisi, milczący. Potem była jakby przerwa, tydzień, dwa i znowu. Widać ojciec wierzył w siłę przepierzenia.

Zaśmiała się głośno, ale zaraz urwała.

– Wtedy, gdy wstałam po raz drugi, znaczy, gdy wróciłam na górę z łazienki, ojca już nie było, ale brat się do mnie odezwał. Boże mój, aż podskoczyłam, serce waliło mi jak szalone, spodziewałam się jakiegoś przełomu. „Olu" – zawołał cicho z tych swoich pierzyn. – „Olu". „Słucham?" – spytałam i aż zakręciło mi się w głowie, a on na to: „Czy masz blok rysunkowy?"

Znowu zamilkła, a wtedy Andrzejowi, który nerwy napięte miał jak postronki, wyrwało się:

– Miałaś?

– Nalej.

– Słucham?

Sama sięgnęła po kieliszek.

– Nie, ja –

– Poradzę sobie. – Uchyliła się, gdy spróbował zabrać jej szkło z ręki. – Upijemy się dzisiaj.

Ale kiedy już napełniła kieliszki i odstawiła butelkę, nie podniosła od razu swojego, tylko odchyliła się w fotelu i wzięła głęboki, wibrujący wdech.

– „Po co?" – spytałam go wtedy, rozumiesz? „Po co?" „Potrzebuję jutro na lekcje" – wyjaśnił. – „Zapomniałem powiedzieć mamie". Miałam, dałam mu. Mamie zapomniał powiedzieć – powtórzyła zdumiona, biorąc ostrożnie kieliszek do ręki i wodząc palcami po jego brzegu. – Ja myślę, że matka wiedziała. Przychodziła do nas późnymi wieczorami, kiedy już położyliśmy się spać, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Stała chwilę, słuchała ciszy, poprawiała kołdry. Ale nie robiła tego nigdy, kiedy u brata był ojciec. Nigdy. Zdrowie!

– Zdrowie – zawtórował Andrzej.

– A teraz przepraszam cię najmocniej – nachyliła się ku niemu i zniżyła głos do poufałego szeptu – ale zaraz zsikam się w majtki.

Wstała, musnęła po drodze jego ramię i zniknęła w środku.

Andrzej westchnął, podrapał się po głowie, powiercił w fotelu, aż wreszcie sięgnął po papierosa. Kiedy odpalał, spodziewał się wybuchu dawno zapomnianej przyjemności, lecz poczuł tylko paskudny smak i drapanie w gardle.

Tymczasem włączyły się latarnie po przeciwległej stronie ulicy i świat przed nimi z niebieskiego zmienił się na pomarańczowy. Tylko te domy, które skryte były za drzewami, odcinały się czernią wzmożoną przez jasne prostokąty okien, a niebo nad nimi wszystkimi wciąż stało granatowe. Z sąsiedniego ogrodu dobiegał gwar ożywionej rozmowy, chodnikami ludzie spieszyli wte i we wte, a w willi naprzeciwko coś nagle łupnęło, huknęło, na moment zapadła cisza – i zadudniła muzyka.

Smak papierosa zrobił się nie do zniesienia i Andrzej z rozczarowaniem stwierdził, że pali już filtr. Zdusił go w popielniczce i choć jasność jego myśli doznała uszczerbku, to miał ochotę na więcej.

– Studenci. – Olga stanęła w drzwiach i kiwnęła głową w stronę domu naprzeciwko.

– Okropni. – Andrzejowi się odbiło. – Przepraszam. Mogę? – zapytał, gdy już usiadła.

– A jednak. Proszę bardzo. – Wyciągnęła ku niemu paczkę i z rozbawieniem patrzyła, jak odpala. Po jej błyszczącym, zamglonym spojrzeniu poznał, że i ona jest lekko wstawiona. – Mam nadzieję, że to nie przeze mnie.

– Skądże. – Zaciągał się długo, bardzo długo. Smak uległ wyraźnej poprawie. – To ta noc, rozumiesz. I teraz mówisz jeszcze, że studenci. – Zrobił kwaśną minę, polał wódkę, podnieśli kieliszki. – Za stare, dobre czasy. Nie… Może to nie najlepszy –

– Za stare czasy. – Wypiła, ucinając jego wątpliwości.

Wypił i on.

– Najbardziej lubiłam śniadania – kontynuowała. – Siadaliśmy w kuchni przy stole, matka dawała nam kanapki, jajecznicę, cokolwiek. Zawsze musiał być chleb do tej jajecznicy,

dużo chleba. Rozmawialiśmy, naprawdę rozmawialiśmy. Ojciec, jeżeli był, bo nie zawsze mógł, to pytał i słuchał, szczerze zainteresowany. A ja tym chętniej z nim rozmawiałam, tym chętniej żartowałam i śmiałam się z jego żartów, bo to było, rozumiesz, zaprzeczenie. Zaprzeczenie nocy. I nie raz, nie dwa, gdy patrzyłam na niego, na brata umazanego dżemem, myślałam: to nie była prawda, to się nie stało, to ja, moja chora wyobraźnia, to ja sobie to wszystko wymyśliłam. Był taki czas, wbrew pozorom całkiem dobry. A potem czułam się już tylko bezsilna. Miałam dość, zwyczajnie dość. Wydawało mi się, że to moje „dość" będzie wystarczające, że to prędzej czy później się skończy. Nie kończyło się. I wtedy, a byłam już w wieku właściwym dla myślenia o kawalerach, wtedy właśnie, kiedy ciało moje na dobre stawało się ciałem kobiety, wtedy zaczęłam marzyć, żeby on przyszedł do mnie.

Wsunęła nogi pod fotel, objęła rękoma kolana i zakołysała się w przód i w tył.

– Bo przecież, myślałam sobie, to byłoby lepsze, byłoby normalne. Chciałam, naprawdę chciałam, żeby przychodził do mnie. Marzyłam, żeby brat mu się wreszcie znudził, przecież też rósł, mijały lata, jeszcze rok, dwa, myślałam, i przestanie być chłopcem, więc może wtedy tak do mnie. Bo ja przecież byłam, jestem kobietą. I może – może – może będzie mi nawet przyjemnie. Byłam zła na matkę, strasznie zła, ale już nie dlatego, że nic nie widziała, nic nie słyszała, że serwowała te swoje kanapki z bladym, porannym uśmiechem, ale że ona nie potrafi dać ojcu tego, czego chciał. A ja, może ja będę mu to w stanie dać.

Wyprostowała się.

– Mój ojciec był oficerem, pamiętasz? Porucznikiem najpierw, odkąd pamiętam, a później jeszcze awansował. Ja wiem, co się mówiło wtedy o wojskowych, zwłaszcza po osiemdziesiątym pierwszym. Ale on nie był nawet, wiesz, nie miał takich poglądów, pewnie, że należał do partii, ale gdzie tam. On był po prostu urodzonym żołnierzem. Przychodzili do nas czasami jego koledzy, zwłaszcza dwudziestego drugiego lipca i w październiku, w Dzień Wojska Polskiego. Zawsze kazał nam schodzić na dół. Chwalił się nami, a zwłaszcza mną, przedstawiał mnie wszystkim i mówił roześmiany, jaką ma piękną córkę, jaką uzdolnioną. Opowiadał im o naszych sukcesach w szkole, chciał, żebym mówiła, czego się nauczyłam. Boże, jak oni go lubili, jak szanowali. A mnie brali na kolana. Przynajmniej póki byłam mała.

Jej wzrok powędrował ku butelce, prawie już opróżnionej.

– Zaraz przyniosę następną. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że ojciec prawie nie pił. Jak już wypił, to solidnie, ale pożartował wtedy, pokrzyczał rubasznie, huknął coś komuś do ucha i szedł spać. Zazwyczaj. Zdarzyło się tak, ale tylko kilka razy, że przyszedł do domu pijany i poszedł do brata, ale nie był agresywny, nie awanturował się. Był tylko głośniejszy.

Andrzej ze zdziwieniem zauważył, że Olga wybija stopami pod fotelem rytm piosenki, która dudniła naprzeciwko, w willi rozświetlonej jak lampion, w której co chwila ktoś wybuchał gromkim śmiechem. Jakaś dziewczyna na chodniku przed nią, przy furtce, pod latarnią, siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, jej ramionami wstrząsał bezgłośny płacz. Olga też ją spostrzegła, patrzyła chwilę z językiem wysuniętym na górną wargę, po czym znowu obróciła wzrok ku Andrzejowi.

– A potem poszłam na studia. Tę część historii znasz.

Wyciągnęła do niego dłoń nad stolikiem, on wysunął swoją. Ujęła ją i chwilę masowała jego palce.

– Poszłam na studia. Ale zanim to się stało, jakiś rok przedtem, dowiedziałam się, że będę miała jeszcze jednego brata. Ot, wypadek przy pracy. Ale cieszyli się, naprawdę się cieszyli. Nie chciałem już mieszkać z rodzicami, chciałam stamtąd uciec, więc wygłosiłam płomienne przemówienie o niezależności i samodzielności, trochę na wyrost, bo nie mieli nic przeciwko temu, żebym przeniosła się do akademika. Matka chciała, żebym przychodziła codziennie na obiad, ale to nie trwało długo. Odwiedzałam ich co niedzielę i w święta. Nie wiedziałam nic, nie chciałam wiedzieć. Z bratem rozmawiałam jak dawniej, o niczym, o wszystkim. O prawie wszystkim. Ten najmłodszy, Paweł – mieliśmy już Piotra, musiał być i Paweł – rósł sobie jak na drożdżach, a ja nawet nie chciałam myśleć, czy coś się dzieje. Aż wreszcie, na ostatnim roku, kiedy on miał już koło sześciu lat –

Wzruszyła ramionami i uciekła gdzieś wzrokiem.

– Olga...

Trwała przez kilka sekund bez ruchu, z twarzą zwróconą do ściany, aż wreszcie podjęła twardo i zdecydowanie:

– To nie jest tak, że ja coś wiedziałam. Nic nie wiedziałam. Ale wydaje mi się, że on się wtedy zmienił, rozumiesz? Może z Piotrkiem było tak samo, ale wówczas byłam za mała, żeby coś zauważyć. A Paweł, Pawełek... On się zmienił.

– Ojciec znalazł…?

– Nie. Myślę, że nie tylko to, że znacznie gorzej. Jak patrzyłam na nich, na ojca i Piotrka, oni zachowywali się tak, jakby łączyła ich jakaś specjalna więź. Piotrek był taki dumny z siebie. Nawet przy stole, przy obiedzie, zwłaszcza wtedy miałam wrażenie, że on i on, że Piotrek i ojciec, są jakby razem, a Pawełek – osobno. I że oni są razem – wobec niego, a raczej – przeciwko niemu, innymi słowy: że ojciec jakoś – jakoś – wciągnął w to brata, namówił go, że oni razem – najmłodszego –

Głos jej się załamał.

– Ale to było dawno – ciągnęła po chwili, schwyciwszy znowu dłoń Andrzeja i ostrożnie drapiąc go po wnętrzu dłoni paznokciami. – Bracia dorośli i się wyprowadzili, prawie nie rozmawiamy. A już na pewnie nie o tym. Ojciec zmarł, matka zaczęła niedomagać, zapominać, w końcu zaprowadziliśmy ją do lekarza. Alzheimer. Nikt jej nie chciał wziąć do siebie. Ależ była awantura, skoczyliśmy sobie do gardeł. Skończyło się na domu starców. Chłodno już.

Olga puściła jego rękę i mocniej naciągnęła na siebie poły swetra.

Andrzej wyjął papierosa, zapalił i myślał. W wiklinowym fotelu, na miękkiej poduszce, pod ciężkim, zmurszałym gzymsem i niebem, które tymczasem poczerniało zupełnie, w środku przedwojennego osiedla, na skrzyżowaniu pełnym rozmów i muzyki.

– Czekaj, czekaj – zreflektował się. – Bracia się wyprowadzili?

– Tak, obaj siedzą zagranicą.

– A ty... – Serce mu mocniej zabiło. – Przecież wy, przecież ty jesteś stąd.

– No przecież.

Tknięty nagłą myślą obrócił się, wychylił, spojrzał przez okno do wnętrza zalanego ciepłym światłem, do kuchni, w której stał duży stół, kilka krzeseł, a dalej, w korytarzu – drzwi do kolejnych pokoi i schody na poddasze. Olga patrzyła na niego z lekkim zaciekawieniem.

– Ten dom? – zapytał wreszcie.

– Rodzinny.

Tomasz Dalasiński

Ur. 1986 – twórca tekstów poetyckich i prozatorskich, doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa. Autor książek z wierszami „©", „Większe" (nominacja do nagrody im. K.I. Gałczyńskiego „Orfeusz" za rok 2018) i „Póki nie żyjemy", książki prozatorskiej „Nieopowiadania" oraz książki krytycznej „Jadąc do ciebie. Szkice o poezji Jacka Podsiadły". Stypendysta MKiDN, Miasta Torunia, Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego oraz ZAIKS w dziedzinie kultury. Zimą 2021 ukaże się jego najnowszy tom poetycki *Wiersze z powietrza, głodu, ognia i wojny*. Obecnie pracuje nad tomem próz pt. *Przystanek kosmos i 29 innych pieśni o rzeczach i ludziach*.

Nożem

Kupuję na bazarze nóż. Kupuję na bazarze nóż z zamiarem jego bezpośredniego użycia w celu, który, przynajmniej w tym momencie, jest znany tylko mnie samemu.

(Nóż to narzędzie doskonałe. Podstawowe. Pierwotne i arcynowoczesne zarazem. Cudowny wynalazek ludzkości, która od zarania dziejów za wszelką cenę usiłowała przetrwać w obcym, niegościnnym, pełnym strachów środowisku. Tymi strachami były najpierw dzikie zwierzęta, które mogły w każdej chwili, przez nikogo niezauważone, podejść pod obozowisko, zaatakować nieświadome i bezbronne plemię, pożreć jego najsłabszych albo, co gorsza, najsilniejszych przedstawicieli i tym samym zniszczyć w zarodku jakiekolwiek sny o potędze. Później strachami bywali najczęściej inni ludzie z innych plemion, doprowadzający swoimi wrogimi działaniami zaczepno-obronnymi do rezultatów niemal identycznych z tymi, jakie wcześniej wywoływały ataki ze strony fauny. W jednym i drugim przypadku zasadniczym mechanizmem obronnym była ucieczka, ale jeśli już dochodziło, a dochodziło nadspodziewanie często, do konfrontacji, zawsze warto było mieć przy sobie nóż albo jakąś jego pochodną. To znacznie ułatwiało życie, czasami wręcz umożliwiało jego przetrwanie).

Handlarz poleca wyrób z wysokiej jakości stali, z metalowym, mocowanym na nity uchwytem, „nie do zdarcia", powtarza, „polski, nie jakaś tam chińska tandeta z Tajwanu". Oglądam kilka modeli, porównuję, testuję ostrość, oceniam kształt i wyważenie, sprawdzam, jak leżą w dłoni. „A do czego właściwie potrzebuje pan tego noża?", dopytuje handlarz, zapewne nie po to, żeby dobrać najodpowiedniejszy dla mnie produkt, ale, mogę się założyć o palec albo nawet o całą dłoń, w celu pozbycia się jakiegoś nierota w dobrej dla siebie cenie. Patrzę mu w oczy i wymownie milczę. „No bo to, wie pan, nóż nożowi nierówny" – kontynuuje on, wyraźnie nie chcąc dać za wygraną, a może pragnąc popisać się wiedzą przedmiotową i wykorzystać wyuczone na różnych bzdurnych kursach techniki sprzedaży bezpośredniej. „Inny nadaje się do krojenia kapusty, inny do tortu, inny do cięcia w plastry, inny do oprawiania ryb i zajęcy, że już nie wspomnę o nożach do zastosowań niekulinarnych. Więc?". Więc nic, myślę sobie, mój nóż, moja sprawa. Wskazuję palcem dwudziestokilkucentymetrowy sprzęt o lekko ząbkowanym ostrzu z trzywarstwowej stali nierdzewnej (rdzeń utwardzony domieszką kobaltu i okuty obustronnie

stalą zawierającą 13% chromu) oraz rączce wykonanej z tworzywa eco wood. Płacę, w ogóle nie negocjując ceny. Dziękuję, odwracam się i opuszczam bazar.

Idę z tym nożem przez miasto, niosąc go w ręku jak miecz. Mijam auta zaparkowane wzdłuż ulicy Chełmińskiej, popadający w coraz większą ruinę budynek dawnego Uniwersamu, postój taksówek, przy którym kopcący szlugi korpotaryfiarze patrzą na mnie, jakbym szedł na wojnę albo pojedynek (z kim tylko?). Na przejściu dla pieszych skręcam w ulicę Grudziądzką, grożę palcem kierowcy białego citroena jumpera, który, nie bacząc na nic, przejeżdża przez pasy, kiedy się na nich znajduję, mijając mnie o niespełna pół metra. Przechodzę obok banku PKO BP i kwiaciarni, w której kupiłem kiedyś swojej wielkiej miłości bukiet herbacianych róż, jak się potem okazało, całkowicie nadaremnie. Wchodzę do pobliskiej Żabki, biorę koszyk, wkładam do niego półlitrową mineralkę i staję w kolejce, cały czas z tym nożem w dłoni. Kobieta w kolejce przede mną, kobieta w kolejce za mną, obydwie niby nie, ale jednak dyskretnie zerkają w moją stronę, „po co mu ten nóż?", myślą, „na pewno chce zrobić coś złego, bo przecież nie chodziłby z nożem w ręce, gdyby czegoś złego nie zamierzał zrobić". Udaję, że nie widzę ich wzroku, udaję, że nie słyszę ich myśli, rzucam na ladę dwa pięćdziesiąt, dziękuję za paragon i czym prędzej znikam. Już na chodniku oddycham z ulgą i wypijam całą zawartość butelki za jednym przyłożeniem ust.

Idę dalej z tym nożem, niosąc go jak narzędzie niedoszłej jakiejś zbrodni, ale kogóż ja mógłbym tym nożem, i po co? Raz w życiu próbowałem kogoś zabić, a i to nieświadomie. Bawiliśmy się z kolegą z sąsiedztwa, starszym o rok czy dwa, w nieprzesianym żwirze zrzuconym koło studni i zaadaptowanym na piaskownicę. Kopałem jakiś tunel, trafiłem na kamulec wielkości mojej ówczesnej pięści, przeszkadzało mi toto w robocie, więc, nie zastanawiając się długo, odrzuciłem w tył, niech leci. Poleciało, ale nie w tył, a w górę, a potem, prawem grawitacji, z niezłym przyspieszeniem spadło prosto na głowę kolegi. Głuche uderzenie kamienia o czaszkę, krzyk i płacz, strumień krwi sączący się z kości czołowej, zalewający włosy, twarz, wsiąkający w piasek. Kilka sekund później jak spod ziemi wyrosły moja babcia i jego matka, coś tam pokrzyczały, chyba nawet dostałem klapsa, zabrały nas prędko do domu, obmyły koledze włosy, obwiązały głowę elastycznym bandażem. Krew natychmiast przesiąkła przez płótno, rana sama z siebie nie miała prawa się zrosnąć, nie było więc wyjścia: ofiarę nieudanego, nieumyślnego zabójstwa trzeba było w trybie cito przewieźć na izbę przyjęć rejonowego zakładu opieki zdrowot-

nej, gdzie ją potem pozszywano i wszystko skończyło się dobrze. Pół roku później kolega razem z całą rodziną wyprowadził się do miasta, ale sądzę, przynajmniej mam nadzieję, że przyczyną tej decyzji nie był mój nieintencjonalnie najcelniejszy w życiu rzut kamieniem.

Ale tak, człowieka można zabić bardzo łatwo, a już naprawdę łatwo jest zabić człowieka nożem. Statystyki kryminalne dość jednoznacznie wskazują, że w Polsce przestępstwo z art. 148 k.k. jest popełniane najczęściej przy użyciu noża, siekiery, tasaka i młotka, czyli tych narzędzi, które mamy pod ręką lub w swoim najbliższym otoczeniu, i które najczęściej wykorzystujemy w czynnościach domowych. Co zresztą przychodzi nam do głowy, kiedy myślimy: „nóż"? W pierwszej kolejności zazwyczaj nóż kuchenny, ewentualnie nóż jako element zastawy stołowej, ale już zaraz potem – narzędzie bojowe: wielki survivalowy knyp rodem z filmów z Seagalem, Stallonem czy innym Schwarzeneggerem. Z tego prostego Gedankenexperimentu bezsprzecznie wynika, że to, co pozornie niewinne i służące podtrzymywaniu *status quo*, w określonych okolicznościach może stać się swoim własnym przeciwieństwem.

Przy pomocy noża można zrobić właściwie wszystko. Ja sam, idąc przez całe miasto z nożem trzymanym jak katowski topór, w przechodniach wywołując lęk lub rozbawienie, dobrze wiem, co mógłbym zrobić z właśnie zakupionym narzędziem, jednocześnie wiedząc równie dobrze, o ile nie lepiej, czego nigdy bym z nim nie zrobił. Mógłbym więc nim naprawdę kogoś zabić: dźgnąć, rozciąć, posiekać, zwłoki wrzucić do Wisły i szybko o tym zapomnieć. Mógłbym zlikwidować w ten sposób więcej niż jednego człowieka. Mógłbym zabić jakieś inne zwierzę, napaść na kogoś i ukraść temu komuś portfel albo telefon, podziurawić sąsiadowi opony w beemce, ściąć ledwie co wkopane wzdłuż osiedlowej uliczki sadzonki platanów klonolistnych, oskórować drzewo na dom albo trumnę. Mógłbym nawet wbić sobie ten nóż w serce i raz na zawsze, jednym szybkim ruchem, skończyć z całym światem naraz.

I chociaż mógłbym skorzystać z noża na sto tysięcy sposobów, robię z nim tylko jedno. Tuż po powrocie do domu zdejmuję buty, odwieszam kurtkę, myję ręce, wchodzę do kuchni, staję przy drewnianym stoliku z IKEI, wyjmuję nóż z pudełka i kroję nim chleb.

Agnieszka Kuna

Prozaiczka.

Pościel w kaczuszki

Pewnego jasnego dnia, który wydarzył się nie pamiętam kiedy, spontanicznie kupiłam sobie pościel w kaczuszki. Klik, klik i już. Gotowe. Urzekły mnie. Rozrzucone na płaszczyźnie tkaniny niczym mlecze na trawniku, żółte, puchate kuleczki. Aż mi się chciało przytulić, wziąć w ręce, nosem dać nura w miękkość, wąchać, odurzać zapachem. Świeżość i niewinność. Wszystkie zwierzęce oseski tak pachną, ludzkie niemowlę nie jest wyjątkiem. Z człowieka jednak zapach szybko się ulatnia. Już kilkulatek cuchnie na zewnątrz i od środka, emanuje smrodem jak teraz ta pościel, która tylko dla niepoznaki jest w kaczuszki. A żółta była. Kiedyś. Kiedyś, które jest odległe od teraz, jak stąd do nie wiadomo gdzie. Zresztą nie robi różnicy, bo o tym, że pościel jest odrażająca, wie tylko jakaś cząstka mnie, ten ułamek jaźni, który uczepił się rzeczywistości jak winorośl gładkiego muru, na który nigdy nie pada słońce. Cała reszta leży w tym syfie i nie daje rady nic więcej. Jak długo można nie mieć żadnych zamiarów, planów, oczekiwań, zobowiązań? Dryfować, prześlizgiwać się przez kolejne sekundy, ledwie je muskając świadomością, a jednocześnie czuć jak każda z nich przeoruje cię aż do kości? Najgorsze przychodziło jesienią, kiedy nadlatywały czarne ptaki. Migrowały z pól do miasta, budząc mnie złowieszczym jazgotem. Nie mogłam znieść ich krakania, zatykałam uszy pięściami, ale i tak słyszałam dźwięk wydobywający się z setek rozwartych dziobów. Wwiercał się w mózg i rozsadzał od środka. Czerń wysysała resztki światła z konającego już o poranku dnia. Ptaki przesłaniały niebo drgającą masą, która do złudzenia przypominała kolonie wygłodniałych karaluchów, toczących śmietnikowe ścierwo. Niosły ze sobą zapowiedź nieszczęścia. Oszroniały listopad wchłonął ojca. Zostawił rodzinę dla jakiejś innej, której zrobił nowe dzieci. Na policzku zostało mi wspomnienie jego łaskoczących zarostem pocałunków na dobranoc. Brat złamał nogę, mknąc do szkoły na rowerze, a parę lat później kark, po tym jak wykonał skok na główkę do wody, pewnego września zbyt pełnego lata, jak na wrzesień. Matkę zabrał łaskawy październik, wybawił z zaborczych objęć raka. Dwieście osiemdziesiąt trzy dni, w czasie których ptaki nieustannie krążyły nad naszym niebem, nie dopuszczając słonecznych promieni do okien, choć to nie była ich pora. Odeszła w upiornym crescendo kruków i wron, które zerwały się do lotu, dopiero kiedy ból się rozrzedził, wsiąkł głęboko do ścięgien i kości, dając o sobie znać – jak reumatyzm – na każdą zmianę aury. Przez szyby lękliwie zajrzała wiosna. Z początku niepewna swojej zieleni, wkrótce rozszalała się po parkach i ogrodach, złotą forsycją, ki-

ściami bzu, upajającą czeremchą. Pachniała rozpulchnioną ziemią, soczystą roślinnością, słońcem. On też pachniał – ciepłym deszczem i wiatrem. – Chcesz – zapytał. – Chcę – odpowiedziałam. Tej jesieni ptaki nie przyleciały. I jeszcze przez parę następnych. Aż zatęskniliśmy za dotykiem miękkości i aromatem ludzkiego pisklęcia. Miało urodzić się w maju, ale spłynęło strugą krwi po moim udzie, w wigilię bożego narodzenia (Merry Christmas to you!) i zamiast dotyku jedwabistego puchu poczułam lepką wilgoć, zamiast woni świeżości – metaliczny odór. Rozciągnęły się od horyzontu, po horyzont. Krzyczały przeraźliwie, na oślep cięły szponami. Wystawiałam ciało na torturę bezwzględnych pazurów i dziobów z nadzieją, że rozerwą i poniosą każdy w swoją stronę, że nie zespoli się już w jedno, ale ono ciągle odrastało, dzień po dniu odrastało, jak głowy Hydry. Pragnęłam nie żyć, ale nie miałam odwagi na nic innego, więc żyłam. Życiem bez życia, liść rzucony na wodę, płynęłam w stronę, w którą zawiał wiatr, w którą niósł nurt.

I gdyby to wszystko była prawda, miałabym przynajmniej powód, wymówkę, przyczynę jakąś tego stanu wegetatywnego, ale nie mam. Oprócz ptaków, żadna z tych strasznych rzeczy mi się nie przytrafiła, nic złego mnie przecież nie spotkało. Ludzie patrzą na mnie i kręcą głowami. – Ogarnij się – mówią, – Weź się w garść – mówią. – Masz ręce, masz nogi, widzisz, słyszysz, możesz mówić, nikt ci nie umarł, nikt ci nie choruje, sama nie chorujesz, nie widać, żebyś była chora – mówią. – Nie wstyd ci? Wstyd. Trzymał mnie w pionie, niczym wykrochmalony uniform, bo wokół wszystkim było gorzej, więc nie wypadało obnosić się ze smutną twarzą. Pamięć mięśniowa utrzymywała grymas zadowolenia identyczny z naturalnym. Wystarczający, żeby nikt nie zapytał znowu, czy mi nie wstyd. Mięśnie jednak z czasem się męczą, nie mogą trwać w ciągłym napięciu. Twarz zaczęła mi spływać, ciążyć ku ziemi. I reszta ciała. Jego ciężar najmniejszy ruch czynił wysiłkiem ponad możliwości. Kryzys przyszedł w listopadzie. „Cukierek albo psikus". Nie miałam przygotowanych cukierków. Codziennie witał mnie ponury ranek, który okazywał się południem, gdy udało mi się zogniskować wzrok na wyświetlaczu zegarka. Od wielu dni, nie umiałam powiedzieć od ilu, nie byłam w pracy, nie byłam u rodziców, nie byłam w sklepie, nie byłam na zewnątrz, nie byłam. Telefon nie dzwonił. Nie miał szansy dzwonić – zapomniałam naładować. Odwlekałam moment wstania tak długo, jak długo pozwalał pęcherz. Wracałam i zagrzebywałam się głębiej w pościel, która kiedyś była żółta, zapadałam w letargiczne sny. Próbowałam w nich znaleźć drogę wyjścia z podziemnego labiryntu, klaustrofobicznego tunelu, ale ciągle zawracałam w to samo miejsce, coraz bardziej zaplątując się w pajęcze sieci, brnąc po kolana w chitynowych

truchelkach owadów, pozostałych po uczcie czających się w ciemności pająków. Po każdym wybudzeniu czułam się coraz bardziej wyczerpana. Jednocześnie nie chciałam i pragnęłam spać dalej. Nie pamiętam, żebym jadła. Nie pamiętam, żebym piła (chyba jednak coś musiałam, bo ten pęcherz). Matka przyjechała w połowie listopada. Trochę się martwiła, że nie odbieram telefonu, że nie oddzwaniam, że nie próbuję się wytłumaczyć, dlaczego nie byłam na grobie dziadków, jak co roku była przecież cała rodzina i to nie wypada, i było dane na wypominki, i w kościele też mnie nie było, a to nie wypada jeszcze bardziej, i w ogóle co ja sobie wyobrażam, i jak tak mogę, i jeszcze ich lekceważę tym nieodbieraniem, nieoddzwanianiem, nie. Tak później mówiła. Że weszła (ma do mnie klucze) cała w pretensjach, cała w srogim marsie na czole i błyskających oczach. I że najpierw poczuła smród, nieznośny fetor niemytego ciała i uniosła się, jak wąska linia jej brwi, o ten zaduch, bałagan, zlew pełny, rozmemłany barłóg, w którym nie od razu mnie zauważyła. Nawet się nie spodziewała. Nie o tej porze. Dopiero jak się poruszyłam, jakieś dźwięk wydałam, zduszony jęk taki, jak konający na polu bitwy, to zimny pot ją oblał, krew zeszła do nóg, rozdygotały dłonie. Jednym pociągnięciem kołdrę ze mnie zerwała i już dzwoniła po karetkę, bo jedyną na to moją reakcją był kolejny jęk, cichszy, jakby tylko siłą woli z płuc wyciśnięty.

Wyczerpanie organizmu – jaka pokrzepiająca diagnoza! Wszyscy ze zrozumieniem kiwają głowami. – Przepracowanie – mówią. – Przemęczenie, za mało snu – mówią. – Trzeba zwolnić, odpuścić, wrzucić na luz. Dla odmiany to im teraz wstyd. Trochę. Za tamte słowa. A ja zostałam namaszczona, uprawomocniona do tego, żeby nie czuć się dobrze. I się nie czuję. A oni o konkrecie, o organizmie debatują. Wycieńczonym. – Osłabiony organizm można zregenerować – mówią. Odżywić, odpocząć, odespać. Biologiczna odnowa i można zaczynać od nowa. Engine start! Pilnują, żebym sumiennie wypełniała zalecenia lekarzy. Urlop od pracy, regularne posiłki, spacery, dotlenianie, doświetlanie, dużo snu. Terapia zdrowym stylem życia. Najlepiej wychodzi mi spanie. Mam nową pościel – wesołe kolory, uporządkowany, geometryczny wzór. Dostaję od niego oczopląsu. Więc zamykam oczy. Odpływam w nieczucie. Niemyślenie. Niebyt. Bo lekarze są w błędzie. Bo wyczerpanie organizmu to tylko skutek. Przyczyna leży w duszy. To ją należałoby oddać do regeneracji, zastosować głęboki lifting, ostrzyknąć osoczem bogatopłytkowym, nacerować złotą nicią. Tymczasem w zaleceniach nic na permanentny nieżyt duszy, na ostry ból w środku, ból, którego źródła nie potrafię umiejscowić. Ból odmieniany przez wszystkie rodzaje i przypadki, zawsze w stopniu najwyższym. Jak rozległy zawał każdego mięśnia,

zator we wszystkich naczyniach. A potem utrata zmysłów, bezwład kończyn, wata z mózgu. Rzeczywistość jak zastygająca smoła, w której brodzisz coraz wolniej, aż w końcu nie jesteś w stanie pokonać jej oporu. Ryba psuje się od głowy, ludzkie ciało od duszy. Zgnilizna rozprzestrzenia się centrycznie, zajmuje kolejne obszary. W nos uderza fetor rozkładu.

Do infekcji musiało dojść w dzieciństwie. – Dlaczego płaczesz? – pytali, kiedy płakałam. Odpowiedź, że płyną mi łzy, bo jest mi smutno, nie była zadowalająca. Chcieli wiedzieć więcej, poznać przyczynę. A ja nie umiałam podać właściwej. Dla mnie smutek był wystarczający. – To nie jest powód do mazania się – słyszałam. – Spójrz, świeci słońce, trawa jest zielona, dojrzały właśnie maliny – powinnaś się cieszyć. Robisz wszystkim przykrość swoją smutną buzią. Nie chciałam robić przykrości. Nie mamie i tacie, ani babci, a tym bardziej królikowi, w którego futerko wsiąkały te moje, nie wiadomo skąd, łzy. Więc starałam się z całych sił mieć pogodną minę i suche oczy. Wstrzymywałam oddech, albo dla odmiany oddychałam płytkimi haustami, żeby nie płakać. Nawet wtedy, kiedy płakać chciało mi się najbardziej na świecie, kiedy umarł mój królik i tata zakopał go w ziemi, i tak się bardzo martwiłam, że będzie mu zimno i że będzie się bał ciemności. Mój królik. Ten kamień w środku, w okolicy żołądka był jak bryła soli wydestylowanej z łez, którymi nie płakałam.

Krzyczałam, że boli, kiedy mama rozczesywała mi włosy, a potem ciasno ściągała je gumkami w dwa sterczące kucyki. – To przecież nie może boleć – słyszałam. – Masz proste włosy, grzebień wchodzi w nie gładko, nic się nie ciągnie – musimy je tylko uczesać. Musisz być uczesana. Żeby nie krzyczeć, wciskałam głowę między ramiona, palce rąk zwijałam w pięści tak mocno, że paznokcie wbijały mi się w skórę. A brat nie nosił kucyków, ani nawet nie miał grzebienia. Nieład na jego głowie nikomu nie przeszkadzał. Na podniebieniu odkładał mi się gorzki smak. Czułam go nawet jedząc ulubioną czekoladę. Była moja, ale i tak musiałam podzielić się z bratem. Uwięziony krzyk rozpychał gardło, aż w końcu zmieniał się w twardą gulę, którą stale czułam w przełyku.

Miałam w szkole koleżankę. Lubiłam się z nią bawić, bo mogłyśmy być astronautkami albo ogromnie mądrymi naukowczyniami. Inne dziewczyny interesowały tylko zabawy w dom albo w piękne księżniczki, które piszczą na widok każdego księcia. Nie rozumiałam, dlaczego mam piszczeć, więc nie nadawałam się do tej zabawy. Ania też nie przepadała za hałaśliwymi księżniczkami. Ale Ania nie chodziła na religię. Dorośli mówili, że

bóg z obrazów, które widziałam w kościele, gniewa się, jeśli boże dziecko takie jak ja, zadaje się z dzieckiem niebożym, takim jak Ania. Ja słyszałam: „kochaj bliźniego jak siebie samego", ale byłam tylko dzieckiem i trochę bałam się gniewu boga, spoglądającego na mnie smutnym wzrokiem z wyżyn ołtarza. Zamiast lotu w kosmos miałam zabawy w dom, gdzie najlepszy fotel zawsze zajmował jakiś pryszczaty książę, który nawet nie wiedział, ile księżyców na Jowisz.

Z czasem nauczyłam się udawać, że czuję to, czego ode mnie oczekują. Byłam gładko uczesana, zawsze uśmiechnięta i cichutka jak złota rybka w akwarium. To weszło mi w krew, stało się naturalne, bliższe. Aż przestałam odróżniać. Tylko ten ciężar w piersi, tylko ten gorzki smak, paznokcie wbite w skórę, wstyd. Znad pól zaczęły nadlatywać czarne ptaki.

Barbara Sinica

Fotografka, nauczycielka, aktywistka, mieszka w Poznaniu. Publikowała teksty i zdjęcia, m.in. w piśmie Zadra, Tlenie Literackim. Wyróżniona publikacją tekstu z projektu „Połów” w ramach „Premier w sieci” w Biurze Literackim.

Baby water

1.

Wreszcie przyszła kurtka, którą kupiłam dla córki na zimę. Wprawdzie ma już dwie, ale nie mogłam przepuścić takiej okazji, była przeceniona z 4000 na 400 na 40. Praktyczna, puchowa. Lol spoko ponton, napisała córka, kiedy wysłałam jej zdjęcie.

Otworzyłam pudło, które przyniósł kurier. W środku nie było kurtki tylko wypełnienie z drutu kolczastego. Leżała w nim czarnowłosa dziewczyna. Patrzyła na mnie oczami w kolorze zmarzniętej ziemi. Wow, to lepsze niż kurtka! – zachwyciła się moja córka – wygląda jak Weronika z „Riverdale", mamo, czy możemy ją zatrzymać? Proszę! Jest cała mokra, ale to nic, trzeba ją włożyć do ryżu! Ryż zaabsorbuje wodę i krew, zaraz znowu będzie działać!

Usiadłyśmy przy stole. Jedz, Weroniko! – zachęcała moja córka – pij smoothie! Ona patrzyła na nas szeroko otwartymi oczami. Nie mrugała wcale, jakby nie była w stanie wytrzymać 300 milisekund ciemności. What's your name? – spytałam, bez większych oczekiwań. Powoli odchyliła mankiet bluzy, pogłaskała wypukłe litery. Ö–z–l–e–m, przeliterowała moja córka. Dziwne, skrzywiła się, będę cię nazywać Weroniką.

Przypomniało mi się, jak kiedyś wyszyłam imię córki na podszewce jej sukienki. Chciałam, żeby pozostała choć trochę moja, wśród obcych dzieci, na ogromnym, przedszkolnym dywanie.

Baby water! – powiedziała nagle dziewczyna, ten głos pokruszył się na obrus jak suche patyczki. Podałam jej szklankę wody, ale pokręciła głową. Baby water, powtórzyła. Wstałam od stołu, trzeba było włączyć zmywarkę.

Córka głaskała dziewczynę po głowie, dosypywała jej ksylitolu do herbaty. Pstryknęła fotkę na insta. Czy mogę z nią spać, mamo? Proszę! Podłożę koc, nie pobrudzi pościeli, obiecuję!

Nad ranem obudziło mnie natrętne wołanie, z trudem otworzyłam oczy. Mamo, ona całą noc rzygała liśćmi i błotem! Musimy ją zabrać do lekarza!

Dziewczyna leżała w łazience, w miejscu, gdzie ogrzewanie podłogowe najskuteczniej oddawało ciepło.

Wezwałam naszego pediatrę na wizytę domową. Zbadał Weronikę, zajrzał do gardła i poświecił latarką w oczy. Zapisał witaminę D. Proszę ją nawodnić, odżywić i wypuścić do lasu. Miesiące zimowe mogą być dla państwa problematyczne.

Wieczorem moja córka bawiła się z Weroniką drutami z pudełka, nawijała je na palce jak pierścionki. Dziewczyna podniosła na mnie wzrok, zobaczyłam siebie i srebrne supełki odbite w jej źrenicach. Baby water, powiedziała cicho, bez przekonania. Napełniłam wodą termos i podałam jej ostrożnie. Wydawało mi się, że się uśmiecha, a może tylko uniosła górną wargę jak pies, który chce pokazać uległość. Lub zaatakować. Jej zęby były zaskakująco białe. Nigdy nie nauczyłam się właściwie interpretować mowy ciała, nie była to umiejętność pierwszej potrzeby.

2.

Özlem czuje jak wypływa z niej ciepło. Ma formę rzadkiej galaretki, przez chwilę gromadzi się w majtkach, a potem schodzi niżej zostawiając po sobie wilgoć. Palec Özlem sunie po powierzchni grubego materiału, goni strużkę, która przyjemnie łaskocze wnętrze uda i zatrzymuje się w zgięciu kolana, tam, gdzie jest najciaśniej.

Özlem patrzy na tył matki, na jej drżące, napięte plecy. Przodu matki nie widzi od jakiegoś czasu, nie wie, czy Issa nadal gryzie kciuk, który wystaje z dziury w za dużej rękawiczce. Już dawno przestał płakać, słychać tylko szelest suchych liści i ciężki oddech matki. Özlem nie powie jej o krwi w spodniach, to informacja z innego życia. Nie pasuje do ich ciał w tym lesie, te ciała są w trybie oszczędzania baterii, wprowadzono w nich stan wyjątkowy.

Özlem wsuwa dłoń między uda. Nadal ciepło. Dobrze byłoby, gdyby ta krew zamarzła, zmieniła się w lodowy korek, który zatka ją jak odpływ wanny. Miała paczkę podpasek, ale oddała je siostrze w samolocie do Mińska. Myślała wtedy, że za kilka dni, w Niemczech, kupi sobie tampony i pójdą z Zahrą na basen. Wypełnią płuca powietrzem, jakby chciały zdmuchnąć urodzinową świeczkę i schowają się całe pod wodą. Będą opadać na dno, powoli, aż poczują pod kolanami powierzchnię gładką jak lód, wtedy otworzą oczy i wszystko będzie błękitnym światłem. I w tym świetle będzie chodzić dużo śmiesznych nóg odciętych od reszty ciał i wszędzie będą wirować bąbelki i to będzie takie uczucie, jakby siedziały w butelce Kiziley. Özlem tęskni za tym basenem, chociaż nigdy w nim nie była. Myśli o podpaskach, wepchniętych razem z siostrą do auta pełnego obcych twarzy. Wciąż słyszy zachrypnięty głos matki: My daughter! We together, where you take her!

Nocami brak siostry puchnie i zamienia się w nadmiar. Kładzie się na piersi Özlem, dociska ją do twardej ziemi. Włazi w nią razem z ciemnością i chłodem, w jej stawy i kości. Özlem chce krzyczeć, ale boi się swojego głosu, dźwięk mógłby zerwać struny, eksplodować w krtani, uruchomić lawinę z popękanego lodu wewnątrz jej ciała. A ona nie może sobie na to pozwolić, jest w trybie oszczędzania baterii, wprowadzono w niej stan wyjątkowy. Więc mówi tylko szeptem i tylko wtedy, kiedy jest to konieczne.

– Woda się skończyła – sapie matka i odwraca się, zbyt szybko. Özlem nie jest gotowa na Issę, jego czerwone policzki i oczy jak szara galareta. – Musimy tam wrócić – mówi matka. Özlem pamięta miejsce, w którym znalazły ich tamte dziewczyny. Miały przy sobie

stetoskop i bandaże, zbadały Issę, otuliły ich kocami, podały kubki z gorącą herbatą z termosu, kilka blistrów tabletek przeciwbólowych. – My daughter, my other daughter, Zahra, they took her, they took her by the border! – powtarzała matka dziewczynom, które chciały zabrać ich "somewhere safe". Potem mówiła do mężczyzn w mundurach, którzy przyszli i przegonili dziewczyny ze stetoskopem. Potem przestała mówić, bo jeden z mężczyzn wyrwał Özlem telefon, rzucił go na ziemię i rozgniótł ciężkim butem.

Özlem nie chce wracać na polanę ze zwłokami smartfona. Wie, że są blisko przejścia, tam czekają na nie ojciec i wuj. Albo nie czekają. Musimy iść – szepcze do matki – na granicy dostaniemy wodę. Dziecku nie odmówią wody, zobaczą jego szare oczy, przezroczystą skórę pod którą wyschły żyły, krew w nich zamarzła, zmieniła się w różowy sorbet. Water for the baby, powiemy, please, baby water! Potem będzie basen, plac zabaw, ciche, spokojne niebo. Teraz jest stan wyjątkowy. Jeszcze trochę. Patrzy na bordowe policzki Issy, kciuk ze skórą ogryzioną do mięsa. Szarość przeświturającą przez powieki jak farsz przez cienkie ciasto. Zahra umiała bawić się z bratem lepiej niż ona, miała dużo więcej cierpliwości. Özlem nie wie, dlaczego myśli o tym w czasie przeszłym.

– Nie mam siły – mówi matka i zaczyna stękać, z jej ust wydobywa się para jak w łaźni. Özlem wie, że to nie stękanie tylko płacz. Matka nie umie płakać, nie miała kiedy się nauczyć. Całe życie w trybie oszczędzania baterii, w wiecznym jeszcze trochę. Stękanie jest bezpieczne, w miarę ciche, nie zużywa za dużo matki i można w nim przetrwać, wszyscy mogą. Matka opiera się o drzewo, jej bura, wymięta kurtka zlewa się z korą pokrytą szronem. Issa w jasnobrązowej czapce wygląda jak huba, która zaraz odpadnie od pnia.

– Wezmę go – szepcze Özlem – chodźmy! Materiał między jej nogami sztywnieje od zamarzającej krwi.

Jeszcze tylko te powalone drzewa. Jeszcze tylko te mokradła. Trzeba to przejść jak w grze, w którą grywała z kuzynami. Zawsze była świetna w wybieraniu drogi, miała intuicję. Tędy będzie szybciej, lód wytrzyma. Albo nie wytrzyma. Özlem słyszy trzask i bulgot, powierzchnia lodu nagle podnosi się do poziomu jej twarzy. Issa! – stęka matka. Jeszcze

trochę, myśli Özlem, kiedy tafla ucieka w górę i zapada ciemność. Nie ma bąbelków, ani śmiesznych nóg, wcale nie przypomina to siedzenia w butelce Kiziley. Ciałko Issy odkleja się od niej, próbuje złapać rękaw jego kurtki ale to nie kurtka tylko jakiś oślizgły konar. Özlem otwiera usta i krzyczy, czuje, jak eksploduje jej krtań, tryska z niej lód, krew w spodniach rozmraża się i przez chwilę świeci w ciemnościach bajora niczym lampa solna. Z góry, ze śmigłowca wojskowego, nie wygląda to jakoś szczególnie alarmująco.

Joanna Tracz

Ukończyła edytorstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracuje jako copywriterka. Autorka idei kampanii, scenariuszy animacji i filmów reklamowych. Tworzyła koncepcje wystaw muzealnych i ścieżek doświadczeń dla instytucji w Polsce i za granicą. Finalistka konkursu Papaya Young Directors. Mieszka w Krakowie.

Biały John

Opowiem wam o moim ojcu, Papie, tatusiu, Białym Johnie. Opowiem wam, bo to opowieść, od której muszę zacząć wszelkie opowiadanie. Opowiem sobie o moim ojcu, bo jego nieopowiedziana historia jest moją, naszej właściwie nie było i z tego nie bycia musi powstać. Opowiem wam, bo jego już nie ma, a ja bez tej opowieści nie zaistnieje.

Ludzie biorą się z różnych rzeczy, ale z czego on powstał - nie wiem. Może z ziemi, dymu i kwaśnego mleka, a może z biedy, łez i przypadku. Pochodził z miejsca, gdzie dzieci usypiało się nie kołysaniem, a makiem, gdzie nie było ulic, tylko place. Trzy potoki trzeba było przejść od wsi, by dotrzeć do placu u Cygona i ojca domu rodzinnego. Niskie chałupy, ułożone w kole chyliły się tu ku ziemi, jakby w każdej chwili gotowe upaść i pochłonąć wszystko, co mają w środku. Na ubitym placu stały kałuże, które zbierały się nawet, gdy długo nie padało i odbijały w sobie życia mieszkańców. A ci pojawiali się i znikali, byli i umierali, zupełnie jak zawsze, a jednak jakoś straszniej i ciężej. We wsi mówiło się, że życia tych, co się rodzili w placu u Cygona szły na marne, że cały odcygoński ród pił, łajdaczył się, niósł nieszczęście, umierał staro, młodo - zawsze głupio, tak jakby miał na zatracenie iść, przeklęty był lub innym jarzmem spowity. Podobno wystarczyło wejść na plac i wciągnąć powietrze, a dziurki w nosie wypełniał złowrogi smród vanitasu, którego nie przełamywały nawet zapachy gnoju, kur i dymu z kominów.

Ojciec musiał czuć ten smród całym sobą, bo rękami i nogami się zapierał, żeby na marne, bo na marne, ale sobie pożyć. Głowę otoczoną blond lokami nosił wyżej niż przystoi, od najmłodszych lat oszukiwał, kłamał i się nie przyznawał. Niejedno imię miał ten łachmyta, z niejednego pieca chleb jadł, z niejednej flaszki pił. Wymyślał sobie życia, fachy i atrybuty. Czasem wspomniał, jak był królem niemieckim i dżumhurijatu, jak nad zatoką perską palił fajkę i siedział na tronie z tataraku. Jak w dalekich krajach spotykał kobiety i kamratów, oddawał się zapomnieniu i życiu niby-niby, do którego przenosiły go buteleczki i magiczne grzyby. A gdy wracał na ziemię blisko trzech potoków, to różni ludzie coś od niego chcieli, a on - Biały John - w glacnym garniturze w kolorze eggszela, z fajką z wiśniowego drewna w dłoni, patrzył na nich z góry, pykał swoją fajeczkę pyk pyk i puszczał pogardliwie kółka dymu. Bo uważał, że jego samochody - duże fiaty w kolorze

kości słoniowej, fular zakupiony w Bonn oraz marynarka z jeansu, jakiej nikt dotąd nie widział, sprawiają, że znaczy więcej. Taką sobie wymyślił ucieczkę od swojego fatum, co go do niego przybliżała, mieszaninę marzeń i kłamstw, co stawała się rzeczywistością. Nami, swoją rodziną, nie bardzo Papa się interesował, ale bywało, że się pojawiał i przywoził prezenty: matce suknie w afrykańskie wzory i złoto z tombaku, a mnie róże pustyni, na których cięłam sobie palce do krwi. Krew ciekła mi po rękach i brudziła ubrania, zostawiając plamy, które nie chciały się sprać, wchłaniała się w chropowate płatki róży zmieniając ich kolor na ciemniejszy.

krew z krwi, marzenie z marzenia.

Tak jak ludzie się biorą z różnych rzeczy, tak ja się wzięłam z marzenia mojego ojca. Jak mnie sobie wymyślił, taka się urodziłam. Przez chwilę się cieszył, że mu tak wyszło to dzieło stworzenia, ale szybko się znudził i poszedł w swoje znikanie. W znikaniu ćwiczył się całe życie, fizyczne nieobecności nie były tak spektakularne, jak te kiedy snuł się obok nas jak duch. Z każdym rokiem coraz bardziej karlał, nikł, uprzeźroczystwiał się. Wpatrywałam się w niego w tych krótkich momentach, kiedy mogłam patrzeć, wpatrywałam z całej siły, jakby wzrok miał magiczną moc zachowywania, przywracania życiu, uobecniania. Tymczasem John pojawiał się coraz rzadziej, w rozjazdach wiecznych był, dziwów szukał, kryształków szklanych, wzlotów, upadków i odurzeń. Nie było mnie w jego słowach, nie wiedział kim jestem, co robię, zapomniał moje imię i datę urodzenia. Stopniowo zaczęłam znikać razem z nim. Uznałam, że to jedyna szansa na ucórkowienie, że znikanie będzie łączącą nas nicią, podobieństwem. A że chciałam być w znikaniu najlepsza, zaimponować Papie, zniknąć zanim na dobre się pojawię, to całkiem przestałam mówić. Brak głosu pomaga w znikaniu, bo to, co niedopowiedziane nie istnieje. Moje milczenie wywołało także pewne wydarzenie, a dokładnie to, że ojciec złamał nasz niepisany pakt - pakt o nieagresji. Z królową matką - zimną rybą - pod rękę zaczął chodzić i mimo że musiał czuć chłód od niej bijący - to za jej namową zwrócił się przeciwko mnie. Po perskich dywanach mnie przeciągnął i zostawił krwawy ślad za uchem. Wtedy nabrałam wody w usta i przez długie lata uparcie milczałam, nawet, gdy mnie ktoś o drogę pytał. Krwawy ślad pulsował za każdym razem, kiedy próbowałam się odezwać, sku-

tecznie przypominając, że mówienie jest nie dla mnie. Milczałam więc, a pojawiające się słowa połykałam. Wystarczyło troszkę opuścić głowę, przymknąć oczy, zrobić ruch językiem, potem szczęką i połknąć. Niewypowiedziane słowa się zapomina, ale one i tak odkładają się wszędzie, w płucach, sercu, wątrobie, brzuchu i tworzą nieprzyjemną lepką powłokę. Można zapomnieć, co się chciało powiedzieć, ale nie da się zapomnieć tego, że się nie mówi.

Dopiero niedawno, gdy ojciec już posiwiał, zębów stracił i coraz słabiej słyszał, zaczęły się ze mnie wydobywać pojedyncze dźwięki, ciągle jednak za mało, żeby nazwać to mówieniem. Zresztą nie rozmawiało z nim żadne z nas od lat. Jedni, bo nie było okazji, inni ze strachu, jeszcze inni ze złości i żalu, że królem będąc nie chciał zrobić z nich królewiczów.

umarł król, niech żyje król

Szłam przez całą noc i dopiero, gdy już dniało zobaczyłam w oddali znajome zarysy wsi. Czerwone słupy niedokończonych spraw stały przed domem mojego taty jak wyrzut sumienia, ale nie jego, bo on dawno zapomniał, co sumienie znaczy. Niedługo na nich złożymy Papy kości, by omiotły je dobre i złe duchy, a przechodzący ludzie mogli zmówić modlitwy lub splunąć.

Dziś pogrzeb ojca się odbywa. A że prawie nic nie wiemy o nim, zakłopotani jesteśmy, że wziął, umarł i nas żywe dzieci zostawił w domysłach, skrawkach i kawałkach swojego życiorysu, złotych loków i upadków. Ze spojrzeń niektórych można wyczytać słowa - dobrze się stało, koniec tego bezdusznego beztroskiego królowania, w końcu zdechł. Tu i ówdzie pojawia się jednak iskra żalu, bo jak tak można było nie obchodzić się nami, samolubnie życie przebyć i umrzeć na koniec.

Tymczasem Papa pewnie przechodzi przez ciemne i ciasne uliczki zaświatów, i jak na króla przystało na swój pogrzeb wchodzi o własnych nogach. Wystrojony jak stróż w boże ciało, stąpa ubrany w spodnie czarne rurki i bluzę adidasa białą. Pod pachą niesie śnieżnego koguta. Włos zaczesan do tyłu, bo już miał przydługi, ogolon i wypachnion czymś tanim, ale mocnym. Gumę żuje, bo pewnie coś łyknął - fason pozostaje, choć śmiertelny. Baby płaczą i czerwone róże w jego stronę rzucają. Patrzę na te kobiety i odkrywam, że znam ich twarze, teraz zmienione od łez. John serca im połamał w dawnych czasach, a one dalej go pamiętają, bo im odmianę przyniósł w ich nudnych i żmudnych życiach. On król, one chwilowe królowe. Matka podsuwała mi ich listy miłosne na papierze drukowanym w róże, żebym prawdziwe oblicze tatusia poznała. Nie udało się to jednak.

Patrzę na ojca i widzę to samo, co przez te wszystkie lata. Tu duch, tam duch, tu trup, tam trup. Cóż się właściwie zmieniło. Żył nie żyjąc, nie żył żyjąc. Czy to możliwe, czy już postradałam zmysły.

Ojciec bierze laskę i zaczyna wybijać rytm raz, dwa, trzy i cztery. Kogut zatacza koła wokół jego nóg. A ja przypominam sobie słowa, zdania zaczynają mi się układać w głowie. Krwawy ślad pulsuje za uchem, ale tym razem, jakby chciał mi podpowiedzieć, jak wydobywać z siebie dźwięki, jak układać język, zęby, usta, jak mówić. Appa Pappa. Mam to na końcu języka.

Opowiem wam, bo to opowieść, od której muszę zacząć wszelkie opowiadanie.

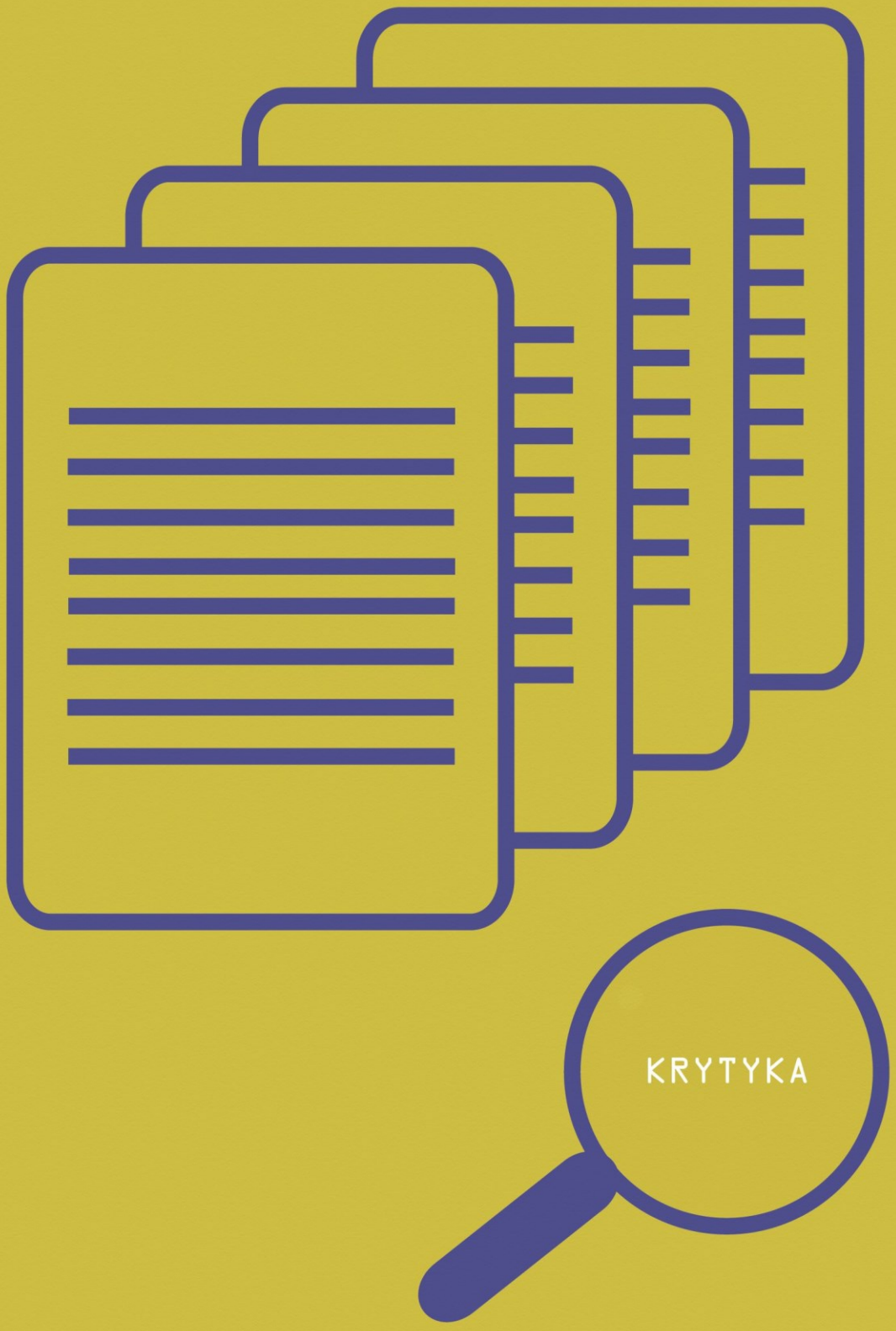
KRYTYKA

Aleksandra Górecka

Absolwentka piątego roku filologii polskiej na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, na specjalizacji przekładowej oraz kuratorstwo literatury. Ukończyła studia licencjackie na tym samym kierunku ze specjalizacją nauczycielską oraz artystyczno-literacką. Obecnie także studentka trzeciego roku Matematyki na Wydziale Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Adama Mickiewicza na specjalizacji teoretycznej. W swojej pracy naukowej stara się połączyć teorię literatury z elementami matematyki, badając między innymi obecność różnych dziedzin matematyki w poezji romantycznej oraz najnowszej. Początkująca krytyczka literacka, poetka i tłumaczka. Hobbystycznie tworzy muzykę elektroniczną oraz zajmuje się tworzeniem grafik. Miłośniczka natury.

Zadomowić się w pustce. O *Granicy lasu* Małgorzaty Lebdy

> Zagłębianie się w mroczne pęknięcia rzeczywistości niepokoi nas i trwoży, ale towarzyszy nam nadzieja, że sięgniemy jakichś głębszych warstw bytu…
>
> (J. Brach-Czaina, *Szczeliny istnienia*)

Skąd zaczyna się las? Gdzie kończy się dom? Albo: co to znaczy BYĆ domem?

To trudne i, początkowo, niezrozumiałe pytania. Odsyłają do konkretnych przestrzeni, wnikają w sferę osobistą, skłaniając do odpowiedzi, co wyznacza (naszą) przestrzeń, jaka jest zależność między cząstką a całością oraz czy to, co nazywamy domem, naprawdę nim jest.

Immanuel Kant w *Krytyce czystego rozumu* nazywa przestrzeń doświadczeniem transcendentalnym, dotyczącym zmysłowości. Podkreśla, że nie jest ona wyobrażeniem zaczerpniętym z zewnątrz, jednak stwarza okazję do pojawienia się owego „zewnątrz"[1]. Przestrzeń jest wyobrażeniem koniecznym – nie możemy usunąć jej z myśli, nie można wyobrazić sobie braku przestrzeni. Jednocześnie trzeba pamiętać, że „przestrzeń i czas nie znajdują się w mojej głowie, lecz moja głowa istnieje w przestrzeni i czasie, które należy założyć, by w ogóle mogła być mowa o jakiejkolwiek głowie"[2].

Ciało, cielesność, zmysłowość nierozerwalnie związane są z jakąś przestrzenią: ciało ludzkie również wyznaczone jest przez kierunki, położenie i odległość. Człowiek nieustannie należy do schematu przestrzeni, która ulega (lub nie) zmianom.

We współczesnym świecie można zaobserwować ewolucję w sposobie podejścia do cielesności. Człowiek wystawiony na to, co publiczne, pozbawiony przestrzeni osobistej został zdominowany przez mechanizmy strachu, lęku przed Bogiem, światem i samym sobą[3].

---

[1] D. Pakalski, *Formy naoczności i kategorie jako aprioryczne podstawy metafizyki w estetyce i analityce transcendentalnej Kanta,* „Studia z historii filozofii" 2013, nr 2, s. 149.
[2] Tamże, s. 155.
[3] N. Rezmer-Mrówczyńska, *Przestrzenie ciała w 'kulturze płynnej nowoczesności': wyznaczanie granic ciała u źródeł nowoczesności,* „humanistica" 2017, nr 21, s. 288.

I tu pojawia się pytanie: czy o istocie ludzkiej można mówić tak jak w wierszu *Człowiek* Herberta:

A czyż był kiedy, czyż kiedy powstanie

Dom wspanialszy niż Człowiek? Niż ten Człowiek, który

wszystko przyćmiewa swą istotą,

Bo sam jest wszystkim, każdą rzeczą[4].

Czy człowiek może być domem?

Na te pytania odpowiedzi częściowo udziela Małgorzata Lebda w swojej twórczości, jednocześnie kreuje ona podmiot, będący podróżnikiem do przestrzeni znanej, wymagającej nieustannego odczytywania na nowo i zapisywania.

W 2013 roku poetka wydaje tom poetycki *Granica lasu*[5], gdzie pojawia się temat przestrzennego wnętrza i zewnętrza, wspomnienia z dzieciństwa przeplatane z echem ojca i najbliższej rodziny, a także rozważania o roli ciała, pytania na temat śmierci i choroby jako znamiona na ciele podmiotu. Zestawienie wszystkich tych kategorii to „pęknięcia rzeczywistości[6]", swoistego rodzaju szczeliny czy migawki. A „to, co niewidoczne, ukryte bywa w szparach, szczelinach, pęknięciach prowadzących w głąb pod powierzchnię, na drugą stronę rzeczywistości. Tej samej jednak[7]".

Pokazuje to bardzo dobrze wiersz Małgorzaty Lebdy pt. *granica lasu*, od samego początku ustawiając relację dom-las jako wnętrze-zewnętrze. To przestrzenie rozgraniczone właśnie ową „granicą". Pomimo, że las ma granicę, przekracza ją, zbliża się do terytorium domu, próbuje wypełnić jego pustkę. A więc wnika w szczelinę domu.

Kojarzy się to z aktem stwórczym, który właściwie zaczął się od pustki. Ciężko ją sobie wyobrazić – brak czasu i przestrzeni, energii i materii. Nie ma ruchu, a przez to zmian i punktu odniesień. A pomimo to właśnie w tej pustce dokonuje się afirmacja istnienia, swoistego rodzaju intymna adoracja – jeśli ma dokonać się inne stworzenie, pustka jest

[4] Tamże.
[5] Wiersz, którego fragmenty cytuję, pochodzi z tomu M. Lebda, *Sprawy ziemi,* Poznań 2020, s. 42.
[6] J. Brach-Czaina, *Szczeliny istnienia,* Warszawa 2018, s. 153.
[7] Tamże, s. 151.

niezbędna. Patrząc przez taki pryzmat, las wypełniający pustkę domu jest tutaj cząstką boskości, a może wcieleniem samego Boga, który kreuje życie, z ogromną delikatnością i nienarzucaniem się. Wypełnia pustkę, ale „próbuje się zbliżyć", zaznacza swoją obecność, chociaż pozostawia stworzeniu wolność.

Nowe stwarzanie człowieka zaczyna się od bolesnego i wstydliwego doznania pustki. Brak także wymaga pokory. Pokory, która potrafi przyjąć wypełnienie. Las jako boska cząstka „wysyła młode sarny, by obgryzały kruche gałęzie jabłoni", wykonuje niezobowiązujący krok w stronę człowieka, próbuje go oswoić, chociaż mają z lasem „niedokończone strachy i mgliste historie". Chce wyzwolić człowieka z lęków, które są największą przeszkodą ludzi do pokonania granic, swoich i lasu.

Las to przestrzeń ulegająca nieustannym reinkarnacjom, animizacji i przemianie: „przygląda się rozrasta", a przede wszystkim czuje. Staje się także przestrzenią tajemniczą, wywołującą lęk. Ze zbliżania się lasu wynika pewne napięcie, przestrzeń jest niespodziewana, zmienia się w ciała zwierząt i roślin – upersonifikowana, umiejscowiona poza domem ma magiczną moc przeistaczania, a ta magiczność dziania się odsłania pewną boskość Przestrzeni, sprawującą kontrolę nad swoim stworzeniem.

„Pustka domu", „kruche gałęzie", „stodoły z ciężkich bali" to metafory-przymioty człowieka, kruchego, przygniecionego, zmartwionego, goniącego za wypełnieniem jego własnej pustki. Ten sam człowiek próbuje oswoić to, czego się boi, oswoić przestrzeń, której nie zna – przez „nieustanne spacery", rozmowy o lesie czy „wcieranie bzowiny w ciało". Kiedy następuje owo „wcieranie", przestrzeni udaje się przekroczyć granicę ludzkiego ciała. Następuje tutaj wspomniany już akt pokory – podmiot akceptuje pustkę, pozwala, by las ją wypełnił, przyjmuje jego dar, chociaż nie dzieje się to od razu. Jako istota nie tylko duchowa, ale także posiadająca ciało, potrzebuje doznań somatycznych, czysto zmysłowych. Oswojenie dokonuje się tutaj nie tylko poprzez rozmowy, ale także poprzez dotyk, długi i intensywny, tak jak rytuał wcierania. Dopełnia się akt stwórczy człowieka, a następnie dokonuje się przeistoczenie: las – Przestrzeń nieoswojona, posiadająca swoją granicę, przestaje być abstrakcyjna, urealnia się, jest namacalna (jakby następowało „przyjęcie ciała"). Podmiot scala się z zastaną przyrodą, która dosłownie przenika granicę skóry. I właśnie *stąd* zaczyna się las.

„Stąd" przeciwstawne do „stamtąd" - które odnosi się do miejsca oddalonego, odizolowanego od osoby mówiącej – jest czymś bliskim, nierozerwalnie złączonym z „tu". „Stąd" to także początek.

Przybliżanie się zmaterializowanej, ucieleśnionej natury jest nigdy niedokończone. Dlatego pojawia się pustka. W wierszu następuje przeniesienie tego, co puste do przestrzeni domu, a las to przestrzeń wypełniona, potrafiąca uzupełnić brak – „Na pustyni Bóg daje obietnicę ziemi, którą odda we władanie człowiekowi, a ma się na niej znaleźć wszystko, czego brakuje na pustynnym terytorium…"[8]. Z kolei:

Brakiem jest sam dom. To dom boli człowieka, i to w taki sposób, że każe mu się wyprawiać nawet na pustynię, nie po to, by go porzucić, ale by z ciężarem domu podróżować. Nie da się uciec od domu. […] Puste jest w nas samych, niezdolnych do wypełnienia siebie, podjęcia komunikacji z innymi w sposób harmonijny[9].

Ciężar domu („stodoły z ciężkich bali") jest ograniczeniem podmiotu, nie pozwala mu osiągnąć pełni. Według Aleksandry Kunce dom i pustka są tym samym, a jedynie utożsamienie się z lasem pozwala człowiekowi wypełnić swój brak.

Świat wiersza jest w procesie wiecznego stawania się, (magicznego) dziania, honoruje cząstkowość, która w późniejszym momencie staje się pewną całością, scaleniem.

Ludzkie ciało jako cząstka scala się z cząstką lasu, poprzez wcieranie bzowiny.

„Cała nasza świadomość zostaje bowiem wchłonięta przez ciało i nie potrafi go opuścić"[10] – aby podmiot mógł oswoić przestrzeń, potrzebuje nie tylko delikatnych podejść, „podgryzania gałęzi", spacerów, „nasłuchiwania", rozmów. Potrzebuje dotykowego bodźca, konkretnego urzeczywistnienia. Rozumieją to sarny, rozumie to przyroda, rozumie to Bóg. Skoro dom to w pewnym sensie pustka, człowiek jest domem – potrzebuje nieustannego wypełniania, nieustannych reinkarnacji, by móc „suszyć grzyby i zioła".

[8] A. Kunce, *Puste i domowe*, [w:] *Oikologia,* Katowice 2013, s. 148.
[9] Tamże, s. 158.
[10] J. Brach–Czaina, *Szczeliny…*, dz. cyt., s. 155.

STREFA WOLNA

Anna Adamowicz

Przyszła noblistka.

Aleksandra Górecka

Absolwentka piątego roku filologii polskiej na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, na specjalizacji przekładowej oraz kuratorstwo literatury. Ukończyła studia licencjackie na tym samym kierunku ze specjalizacją nauczycielską oraz artystyczno-literacką. Obecnie także studentka trzeciego roku Matematyki na Wydziale Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Adama Mickiewicza na specjalizacji teoretycznej. W swojej pracy naukowej stara się połączyć teorię literatury z elementami matematyki, badając między innymi obecność różnych dziedzin matematyki w poezji romantycznej oraz najnowszej. Początkująca krytyczka literacka, poetka i tłumaczka. Hobbystycznie tworzy muzykę elektroniczną oraz zajmuje się tworzeniem grafik. Miłośniczka natury.

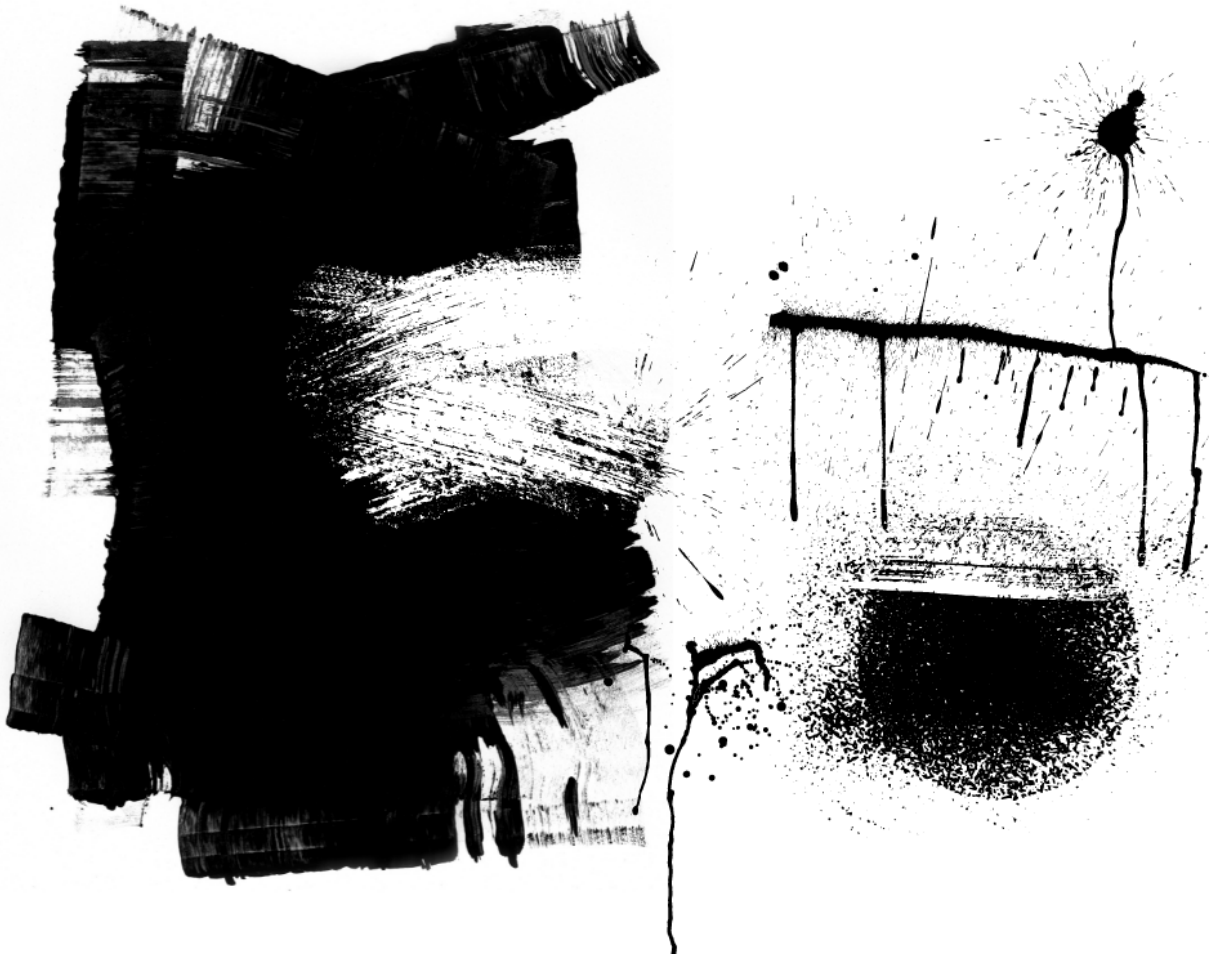

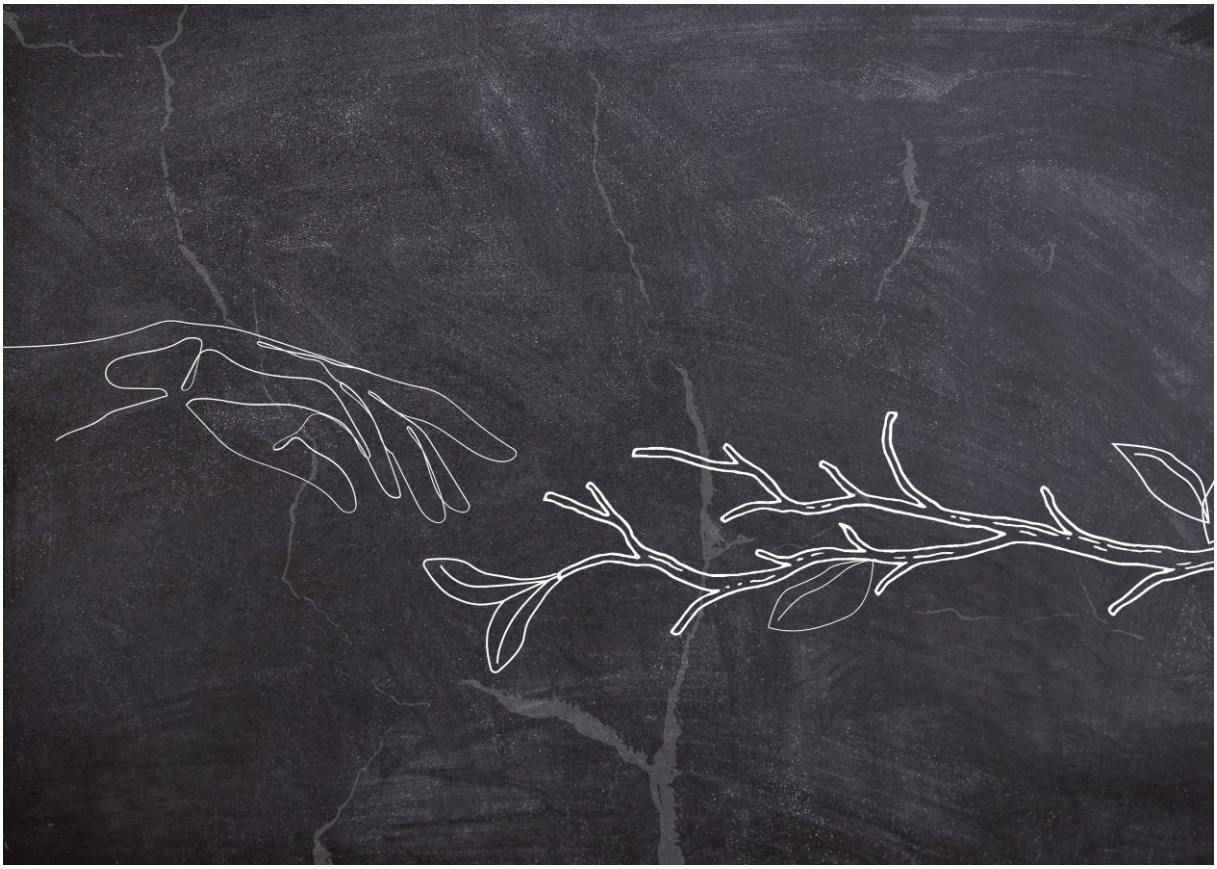

Marcin Hanuszkiewicz

W sercu mistyk, z konieczności opowiadacz wielofunkcyjny. Wyróżniony w trzeciej edycji konkursu Nowy Dokument Tekstowy oraz w pierwszej edycji konkursu Podaj frazę. Teksty literackie po polsku publikował m.in. w Arteriach, Drobiazgach i Malkontentach. Klei również kolaże, które udostępnia na Instagramie (@tkalnia) i które były publikowane m.in. w Stonerze Polskim, Gazecie Muszącej Się Ukazać oraz Always Crashing.

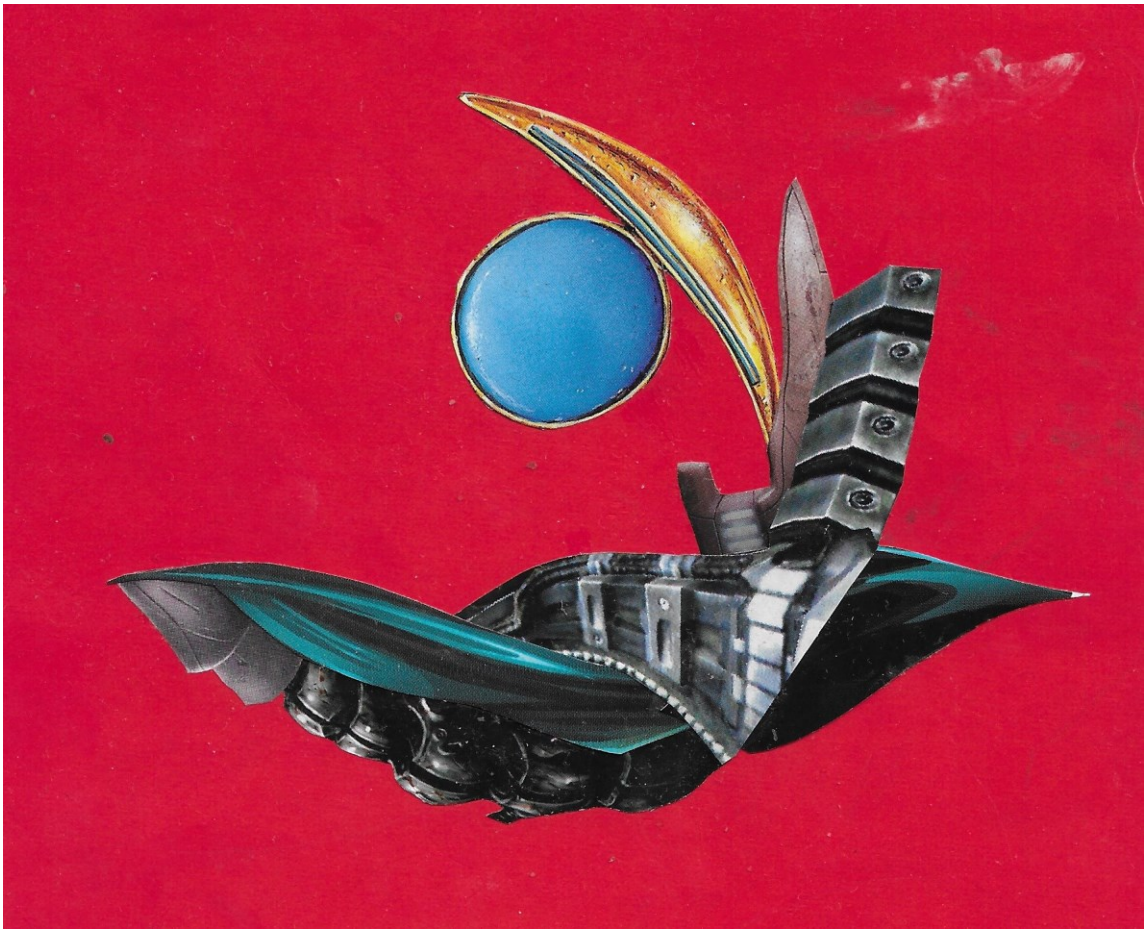

Lida Yusupova

1963; Poetka, autorka czterech książek poetyckich - *Ирасалимл*, *Ритуал С-4*, *Dead Dad* i *Приговоры*, oraz książki prozatorskiej *У любви четыре руки* (razem z Margaritą Mekliną). W amerykańskim wydawnictwie Cicada Press ukaże się niebawem angielskie tłumaczenie jej książki poetyckiej pod tytułem *The Scar We Know*. Uczestniczka feministycznego projektu literackiego *Ф-письмо*, a także jedna z poetek zaproszonych do antologii *F Letter: New Russian Feminist Poetry*. Laureatka nagrody poetyckiej Различие (2017), przyznawanej za „książki, w których poezja stanowi odkrywanie" za tom *Dead Dad*. Publikowała w czasopismach „Воздух", „Митин журнал", „Modern Poetry in Translation", „La Revue de Belles-Lettres" i innych. Jej wiersze były tłumaczone na kilka języków. W 2021 roku została laureatką prestiżowej nagrody Babilon. Urodziła się w Pietrozawodsku, mieszkała w Petersburgu i Jerozolimie, obecnie mieszka w Toronto i na koralowej wyspie Ambergris Caye (Belize).

Jakub Sajkowski

1985; Poeta, tłumacz, nauczyciel języka polskiego jako obcego. Opublikowane książki poetyckie: *Ślizgawki* (2010), *Google Translator* (2015), *Zestaw do kaligrafii* (2018), *Ilha Formosa* (2021). Wiersze, a także przekłady z angielskiego, rosyjskiego i mandaryńskiego, publikował w wielu periodykach literackich (min. *Drobiazgi, Dwutygodnik, Stoner Polski, ArtPapier*). Mieszka w Poznaniu.

Centrum Problemów Genderowych

bardzo chciałam spotkać się z lesbijkami i feministkami
i zadzwoniłam do organizacji pod nazwą Centrum Problemów Genderowych
czy mogę przyjść do waszej biblioteki
łomotało mi serce
bo wcale nie chciałam pójść do biblioteki
chciałam spotkać się z lesbijkami i feministkami
chciałam się przysłużyć feminizmowi
a poza tym
odkryłam że jestem lesbijką
ale nie znałam żadnej
dlatego właśnie chciałam się spotkać z lesbijkami i feministkami
i zadzwoniłam do organizacji pod nazwą Centrum Problemów Genderowych
czy mogę przyjść do waszej biblioteki
był styczeń 1999 roku
wróciłam do Rosji
z Kanady
gdzie przeczytałam bardzo wiele książek
na temat feminizmu
w języku angielskim
zdawało mi się że teraz mam dużo praktycznej wiedzy którą się mogę podzielić
wtedy jeszcze nie było w zasadzie internetu

Może w samochodzie bladź a nie kurwa siedem bladź biblioteka tak tak to dziwne że dyktuję coś o bibliotece jakie tu słowo jest napisane bladź tu bladź Przy czym tu bladź kiedy dyktuję słowo biblioteka biblioteka biblioteka aj, a nie bladź co do kurwy w ogóle dziewięć to dziwne jakbym w sumie nie chciała no to wszystko No tak ta tyrada na temat bladzi zapisać tu pisać tak, a telefon tak jakby zdecydować skąd ty to wzięłaś w ogóle skąd to się wszystko wzięło skąd wziąłeś telefon wziąłeś to słowo bladź w moim wierszu dlaczego ty je wstawiłeś w mój wiersz powiedz dlaczego odpowiedz odpowiedz odpowiedz mów mów

mogłabym przyjść do waszej biblioteki
a zna Pani adres
ulica Wosstania dom 40 przez 19 mieszkanie 37
była taka lekkość i radość
rześki słoneczny chłodny surowy dzień
śnieg odtajał i wszędzie leżała brązowa plucha
nogi mi przemokły
otwierają się drzwi
stare drzwi starego mieszkania
mętne żółte światło żółte ściany korytarza
uśmiecham się dzień dobry to ja dzwoniłam w sprawie biblioteki
a, biblioteka, tak, proszę wejść
pokazują na drzwi tu od razu przy wejściu po lewej
wielkie białe drzwi
proszę poczekać wewnątrz bibliotekarka zaraz przyjdzie
mówi do mnie pulchna dziewczyna o jasnych włosach
nie patrzy na mnie nie uśmiecha się
a ja się do niej uśmiecham promiennie
jej twarz niczego nie wyraża
po prostu odwraca się i odchodzi
jej plecy znikają
w głębinie mieszkania
dużego mieszkania
otwieram drzwi wchodzę
słoneczne światło pada z okna
białe drzwi zamykają się za mną
stoję pośród pokoju
i wyobrażam sobie
jak się spotykam z lesbijkami i feministkami
mama mojego byłego męża wspominała jak w czasie blokady
mieszkała na tej ulicy i nagle zaczął ją śledzić wysoki mężczyzna
miała dziesięć lat jej mama była pracownicą partii
na jakimś wysokim stanowisku w Smolnym i jej mama mówiła do niej

że trzeba być ostrożną ponieważ ludojady porywają dzieci
i w ten w ten właśnie słoneczny zimowy dzień zrozumiała że
zrozumiała że właśnie ten mężczyzna chce ją zjeść
ona poczuła całym ciałem
że to jej ciało jej ciało jej mięso
że to jej ciało jego mięso
że to jej ciało jego pożywienie
że on jest myśliwym, a ona pożywieniem
że on jest bestią
a ona zwierzaczkiem
że to właśnie skrzypiąca śniegiem
idąca ślad w ślad
bestia
przeszywająca wzrokiem
skrzypiąca śniegiem
a do tego, opowiadała mi Lia Pawłowna

tak na nią mówili, a do tego wcześniej, to jest wcześniej w ten sam dzień widziała że na rogu Newskiego i Władimirskiego stała dziewczyna i sprzedawała bardzo czerwone mięso ta czerwień była porażająca nigdy wcześniej nie widziała takiego jaskrawoczerwonego mięsa teraz rozumie co to było za mięso

ona pobiegła, a ten mężczyzna pobiegł za nią
ona wbiegła na podwórze do klatki wbiegła po schodach
kiedyś były takie haki na drzwiach, żeby je zamykać na noc
a drzwi chwała bogu nie były zaryglowane a ona otworzyła te drzwi
i zablokowała je czarnym długim *
i gdy tylko to zrobiła
ktoś zaczął mocno szarpać te drzwi ten mężczyzna szarpał drzwi
ale to były stare mocne petersburskie drzwi
podwójne drzwi z żeliwnym haczykiem
żeby się bronić przed żądnymi krwi mężczyznami
bestiami blokady

i jej mama bardzo się zdziwiła dlaczego te drzwi są zamknięte na haczyk
a Lia Pawłowna opowiedziała jej o ludojadzie
i od tej pory mama nie zostawiała jej samej
słyszę głos zza drzwi
niski głos
drzwi się otwierają
i pojawia się wysoka dziewczyna o rudych włosach
i czerwonych czerwonych ustach
rude włosy prosta grzywka czerwone usta
ona nie patrzy w oczy
ona się nie uśmiecha
pyta o coś

mówię że tak w ogóle to przyszłam tutaj bo chcę coś napisać do biuletynu ich organizacji
mówię że chcę być potrzebna że chcę być potrzebna ich organizacji feministycznej
i mogę coś napisać do biuletynu ich organizacji wiem że oni taki biuletyn drukują, przeczytałam mnóstwo książek po angielsku na temat feminizmu o historii feminizmu i jego współczesnych problemach gdy mieszkałam w Kanadzie, przeczytałam też wiele artykułów w gazetach, i w ogóle szukałam informacji pochłaniałam wiedzę o prawach kobiet o walce o prawa kobiet i walce o prawa lesbijek gejów transseksualistów społeczności queer LGBT+

kobieta o czerwonych ustach nie patrząc na mnie powiedziała
proszę za mną poznam Panią z przewodniczącą proszę za mną do kuchni
i wyszłyśmy z biblioteki poszłyśmy przez długi ciemny korytarz
po prawej był jeszcze jeden duży pokój pełen światła
jedna kobieta siedzi przy drzwiach druga przy komputerze uważnie popatrzyła na mnie
ta kobieta która otworzyła mi drzwi siedzi przy stole na środku pokoju
popatrzyła na mnie z trwogą
i jeszcze jedna kobieta stoi plecami do mnie opiera się łokciami o stół
i coś mówi do kobiety która otworzyła mi drzwi

no i jestem w tej kuchni przy długim stole ruda kobieta mówi że ma na imię Walia i proponuje herbatę tak chętnie zapala palnik gazowy i stawia zielony emaliowany czajnik na błękitnym ogniu wychodzi, a ja po drodze do kuchni widziałam napis na drzwiach jeszcze jednego pokoju, to towarzystwo lesbijek po to tu przyszłam tak tak to wszystko było kłamstwo tak naprawdę nie chcę aż tak bardzo pisać do ich feministycznego biuletynu, choć to też byłoby ciekawe, ale nie aż tak, najważniejszą rzeczą dla mnie jest poznać lesbijki chcę je poznać chcę też poznać feministki, ale lesbijki są dla mnie ważniejsze, być może po tym jak się z nimi poznam zacznie się dla mnie nowe życie przyszłam do centrum problemów genderowych nie po to aby pisać na temat feminizmu, a dla siebie, przyszłam dlatego, że chcę miłości i seksu z lesbijką tak przyszłam tu dla miłości tak to jest dla mnie tak naprawdę ważne przyszłam tu dla miłości

weszłam do pokoju lesbijek był mniejszy od biblioteki i z pewnością do tego momentu zmieniła się pogoda lub też zaczęło zachodzić słońce, bo w pokoju było ciemno i gdy weszłam, trzy blade twarze podniosły głowy z nad otwartego czasopisma albo albumu czy jakiejś dużej książki twarze które zdawało się świeciły jak mogły w ogóle czytać w takiej ciemnicy na pewno oglądały zdjęcia wszystkie trzy były bardzo krótko obcięte, a ja miałam długie włosy zapięte w kucyk, i jeszcze byłam umalowana, a one oczywiście nie, ja byłam dla nich z wyglądu taka heteroseksualna i się uśmiechałam a one patrzyły na mnie nie nie z rozdrażnieniem a z napięciem i obojętnością

czego chciałam na co miałam nadzieję czego oczekiwałam że wezmą mnie w swoje objęcia że dosłownie wezmą mnie w swoje objęcia otworzą swoje serca że one po prostu spojrzą na mnie uśmiechną się a ich oczy zabłysną potem wstaną wyjdą mi na spotkanie rozłożą ręce niczym kraby ach nie pamiętam nawet o co pytałam być może o czasopismo ich organizacji ich organizacja wydawała czasopismo o wszystkim wiedziałam ponieważ dwa lata przygotowywałam się do tego spotkania i szukałam informacji w Internecie w bibliotece w Toronto nie miałam swojego komputera marzyłam o tym spotkaniu dwa lata

powiedziały że teraz nie mają żadnego czasopisma lub coś w tym stylu dokładnie nie pamiętam, ale znaczyło to, że nie mam tam czego szukać wyszłam z tego pokoju i nigdy tam już więcej nie wchodziłam

Walia zaparzyła herbatę zaczęłyśmy ją pić to był czas gdy herbatę zaparzano w dzbankach do herbaty zaczęłyśmy pić herbatę i rozmawiać długo rozmawiałyśmy Walia powiedziała że dopyta kiedy Olga będzie wolna i wyszła przy wejściu do kuchni siedział ktoś po prostu siedział na krześle na kogoś czekał i spytałam czy też czeka na Olgę osoba gwałtownie się odwróciła i odparła że nie jest stąd dowiedziałam się że to Masza Gessen, to znaczy poznałam to imię, a nie wiedziałam kto to, a potem to imię stało się sławne

w końcu pojawiła się przewodnicząca Olga i zaczęła rozmawiać z Maszą Gessen do tego czasu na dworze już było całkiem ciemno w kuchni zapalono światło jedną jedyną lampkę świecącą żółtym światłem ściany były zacienione Olga głośno spytała kto chce wina i wyjęła z lodówki czerwone wino postawiła je na stole a ja spytałam czy mogę ja troszeczkę spytałam z uśmiechem czy mogę ja troszeczkę a Olga spojrzała na mnie ciężkim badawczym wzrokiem i powiedziała NIE dalej piła wino sama

potem powiedziała Walii że się jej nie spodobałam bo się uśmiecham, a ona nie ufa tym, którzy się uśmiechają, a kobieta która otwierała mi drzwi powiedziała, że jej też się nie spodobałam, bo sprawiam wrażenie niesamodzielnej na pewno miała na myśli że nie wyglądam na feministkę bo się uśmiecham mam długie włosy i makijaż

Walia mi to wszystko przekazała bo została moją kochanką
ja powiedziałam Walii że nigdy nie uprawiałam seksu z kobietą
Walia powiedziała to proste ja cię nauczę
Walia leżała goła na moim czerwonym bawełnianym kocu
w moim pokoju na ulicy Czerniakowskiego
którą nazwałam jajem
Walia leżała w moim jaju
białe ściany żółty dywan delikatnie różowe zasłony gobelin jajko sadzone nad tapczanem
na tym tapczanie umarła ciocia mojego byłego męża

miała na imię Nina była pianistką przeżyła blokadę tylko dzięki swojej przyjaciółce Zoi która pracowała w publicznej bibliotece i dzieliła się z nią racją żywnościową wydaje mi

się że Zoja kochała Ninę całe życie i Nina o tym wiedziała, ale nigdy o tym nie rozmawiały nie rozmawiały o lesbijskiej miłości, mam opowiadanie o lesbijskiej miłości w czasie blokady Leningradu dawno je napisałam jest o Ninie i Zoi, ale nie nazywam ich po imieniu ono splata wiele różnych historii, ale myślałam o Ninie i Zoi gdy je pisałam Nina była fem, a Zoja była butch Nina była drama queen, a Zoja twarda jak krzemień Nina farbowała włosy jak Walia też na rudo a Zoja była szpakowata i paliła biełomory gdy ich spotykałam w gościach u Lii Pawłowny pod koniec 1980-go roku

Walia leżała na tapczanie Niny i rozłożyła swoje długie nogi
weszłam do pokoju przyniosłam jej herbatę z kuchni a Walia leżała goła na tapczanie
ogolony wzgórek łonowy małe piersi
Walia leży na plecach wyciągając się rozkładając nogi
Patrzy na mnie z uśmiechem

od trzech dni nie jestem w stanie opisać co się stało dalej próbuję opowiedzieć o naszym seksie o tym jakie to było piękne i co robiłyśmy, ale gdy tylko przetwarzam swoje wspomnienia na słowa wszystko staje się prymitywne wręcz śmieszne jakby nie było słów w języku rosyjskim na lesbijski seks jakby nie było słów w języku rosyjskim piszę pizda Walii była cudem jej łechtaczka była czerwona jak ziarenka granatu a jej wagina gorąca w środku moje palce były na tyle czułe że wystarczyło raz wniknąć w jej waginę a narastająca pulsacja mojej pizdy zbliżała się do jej pizdy piszę nie czułam granicy między ciałem a ciałem bezgraniczne morze bezgraniczny seks dyktuję do telefonu on pisze nie było granicy jesteśmy głupie bezgranicznie głupie piszę nie wiedziałam że rżnięcie może być moim moim spełnieniem to było szczęście to było najszczęśliwsze rżnięcie mojego życia rżnięcie szczęście rżnięcie szczęście rżnięcie szczęście

czynna.com